Nr. 8. Lwów, Niedziela dnia 21. Lutego 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

VIII.

O SUMIENNOŚCI AUTORSKIEJ.

Dzieła treści poważnej w rozmaity powstają sposób. Jedni poświęcają długie lata pracy sumiennej i wytrwałej, aby potem spisać wyniki badań samodzielnych, drudzy nie mając talentu pierwszych, bądź popularyzują wiedzę jednego tylko badacza, bądź zestawiają badania kilku razem, przytaczając atoli źródła, z których zaczerpnęli pierwszych wiadomości o przedmiocie przez siebie omawianym, — inni nareszcie pozbawieni nietylko uczoności pierwszych, lecz także sumienności drugich, zabierają uczonym ich pracę bez przytoczenia źródeł, a przerobiwszy ją na swoją modłę, puszczają dzieło w świat w tej błogiej nadziei, że koła czytające nie postrzegą się na podstępie, i zasługę oryginalności im przypiszą, nie zaś tym, którym właściwie ona się należy.

Pierwszych nazywamy uczonymi, drugich kompilatorami, trzecich plagjatorami.

W krajach, które pod względem naukowym wysoko stoją, jak Anglja, Francja i Niemcy, od dłuższego już czasu nie zdarzyło się, aby ktokolwiek ośmielił się dopuścić jawnego plagjatu. Liczny zastęp uczonych przestrzega tam surowo sumienności autorskiej, a pisma fachowe z taką dokładnością rozbierają każde nowe dzieło, że znalazłyby w niem pojedyncze nawet zdania, gdyby te nie były własnością piszącego lecz innego autora. Nie mniej i społeczeństwo oświadczyło się tam stanowczo przeciw plagjatom, bo jeżeli słuszną jest rzeczą, aby ten, kto gwałtem lub podstępem przywłaszcza sobie cudze pieniądze był sądzony i karany, to sprawiedliwym jest także wyrok potępiający wydany przez społeczeństwo na tych, którzy obcą wiedzę podają za własną. Nad własnością materjalną czuwają sądy — nad własnością duchową powinni czuwać obywatele sami, tem gorliwiej, ile że ta jest droższą dla właściciela, bo trudniejszą do osiągnięcia aniżeli złoto.

Polska rzuciwszy się w ostatnich czasach do nauki, ma obok nie wielu uczonych, dość już znaczny zastęp ludzi pracy, którzy wiedzę obcą na nasz grunt przenosząc, starają się tym sposobem podnieść u nas poziom intellektualny. Zasługa ich prawdziwa, gdyż nie każdy może sam badać i samodzielnie prawd dociekać, obce zaś narody nie mało już rzeczy zbadały, które należy tylko naszym językiem powtórzyć, abyśmy w wielu razach nie zaczynali pracy ab ovo. Sumienność autorska nakazuje jednak, aby każdy z nich przytaczał źródła z których czerpie. Ktokolwiek przeciwnie postępuje, powinien być przez nas samych schłostany, gdyż zdarzyćby się mogło, że skrzywdzony autor obcy, schłostałby Polaka, strojącego się w jego pióra, przed całą Europą, i tem samem rzuciłby plamę na honor Polski. W krótkiem naszem życiu publicystycznem mieliśmy niestety sposobność odkryć już kilka takich wypadków, a chociaż to misja bardzo przykra, spełniać ją jednak będziemy z całą starannością, ufni, że za przykładem naszym pójdzie reszta dziennikarstwa polskiego. Surowem tylko przestrzeganiem sumienności autorskiej spowodujemy, że prawdziwa zasługa doczeka się uznania i nie dopuścimy, aby trutnie literackie pożerały zapasy miodu, mozolnie zebrane przez pracowite pszczoły.

Smutnem, nad wszelki wyraz smutnem odkryciem musimy dziś zakończyć nasze uwagi. Jeżeli pisarz, przywłaszczający sobie podstępnie cudzą wiedzę, *którą już drukiem ogłoszono*, zasługuje na publiczną naganę i nazwę plagjatora, to jak ukarać i nazwać tego, który uczonemu zabrał z *rękopisu* jego pracę, aby potem pod własnem wydać ją nazwiskiem? Niestety fakt tego rodzaju stał się we Lwowie.

Dr. Antoni Małecki przez ciąg lat kilkunastu wykładał historję literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Na każdej jego prelekcji sala była przepełniona, ponieważ świeżość poglądów i wszechstronne zgłębienie omawianego przedmiotu, lepiej obznajamiały słuchaczów z dziejami i charakterem naszego piśmiennictwa, niżeli wszystkie z istniejących dotąd historyj literatury polskiej. Niejednokrotnie w pismach publicznych i osobiście proszono Dr. A. Małeckiego aby wykłady swoje drukiem ogłosił. P. Małecki z niewiadomych nam powodów nie uczynił zadość tym wezwaniom. Tymczasem znalazł się autor nieproszony, który go w tem wyręczył. Między słuchaczami p. Małeckiego zasiadał niejaki p. Adam Kuliczkowski, który spisawszy prelekcje swego profesora, zabrawszy mu cały system i podział na epoki, rzeczy najważniejsze i zupełnie oryginalne, wydał potem wszystko w skróceniu pod własnem nazwiskiem, jako własną pracę*). Czy w świecie cywilizowanym zdarzył się kiedykolwiek fakt tego rodzaju? Myśmy o podobnym nie słyszeli.... I to stało się u nas, lat temu trzy, a my milczymy. Żaden dziennik krajowy nie poczuwał się w obowiązku wyjaśnić w jaki sposób powstała książka p. Kuliczkowskiego; my dopiero musimy spełnić to smutne zadanie. Spełniamy je, bo tak nam nakazuje obowiązek dziennikarski, a Dr. A. Małeckiego prosimy w imieniu wszystkich, aby nie zrażając się podstępem ucznia, wydał swoją historję literatury, i w przedmowie wyświecił, dla czego książka p. Kuliczkowskiego jest tak bardzo podobną do jego dzieła; w razie bowiem gdyby tego nie uczynił, po latach kilkudziesięciu historyk zestawiwszy daty mógłby przypuścić, że p. Małecki zabrał erudycję p. Kuliczkowskiemu, a taki zarzut byłby nadto ciężkim dla nazwiska szanownego profesora.

Jeżeli plagjatem nazywa się podszycie pod wiedzę cudzą, drukiem ogłoszoną, to jak nazwać postępek p. Kuliczkowskiego? Wyroku nie ogłaszamy, niech go wyda sumienie publiczności.

Całe dziennikarstwo polskie powinno surowo przestrzegać, aby tanim kosztem ludzie miernych lub wcale żadnych zdolności nie stawali się wielkościami. Jeżeli sumienności żądamy od drugich, od tych, którzy zakładają banki, koleje i fabryki akcyjne, to nie zapominajmy sami o tej cnocie. Sumienność autorska powinna być naszem hasłem, naszym sztandarem, którego bez narażenia się na hańbę zdradzać nie wolno!...

*) „Rys historji literatury polskiej", przez Adama Kuliczkowskiego. Lwów r. 1872; nakładem K. Wilda.

SRECE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

— Wymówki do pewnej miary są słuszne, przyznaję — rzekł zimno... Wziąłem na siebie rolę podłą i nie miałem dosyć podłości, aby ją jak należy spełnić. Ale kto mi ją narzucił, kto mnie do niej namówił, kto mnie w imię familji, przyszłości rodziny itp. zaklinał, męczył, nakłaniał, abym w to błoto wlazł?! Ty, kochany ojcze...

— Bom chciał szczęścia twego, —rzekł popędliwie ojciec — i sądziłem cię istotnie człowiekiem wyższym, śmiałym, energicznym, a z ciebie życie i wolę i siłę wyssała panna Adela i tym podobne kreatury... Jesteś do niczego! Rób że teraz co chcesz, radź sobie sam, a ja wiedząc że na waćpana rachowac nie mogę, wiesz co zrobię! wiesz!... Oto ożenię się mimo siwych włosów i będę miał dzieci i na nie zleję moje nadzieje przyszłości.

Szambelan odwrócił się gniewny, Zygmunt śmiać się zaczął.

— A to, na honor przedziwne! — rzekł cicho. — Tatko, obcy ludzie patrzą, słyszą i pomyślą, żeś przyszedł mnie na pojedynek wyzwać. C'st mauvais genre, robić sceny. Zeń się kiedy chcesz, ale nie krzycz....

Stary chodził po ścieżce tam i sam, ręce w kieszeniach, głowa spuszczona.

— Do twojego losu, przyszłości, nie mięszam się więcej, — rzekł — lecz mam prawo, zrujnowawszy się dla ciebie, starać się choć z twoją pomocą odzyskać stracone,. Mam nadzieję, że mi będziesz pomocą...

—Na pojedynek tego muzyka nie wyzwę — odezwał się Zygmunt — co mi za pojedynek! i śliczna potem historja żem zabił tego, który mi rogi przyprawił... dla przypieczętowania autentyczności faktu tego... który w ten sposób już wątpliwości ulegać nie będzie. Nie, mam tych Olimpijskich igrzysk dosyć. Daję papie pełnomocnictwo, kończ jak chcesz... rób co ci się podoba....

—A ty tymczasem z angielką drugie głupstwo będziesz przygotowywał... — ironicznie rzekł Szambelan.

— A jeśli wezmę po niej sto tysięcy futnów?

— Fig-fig—zaśmiał się gorzko ojciec— Angielki, które mają po sto tysięcy funtów, nie jeżdżą po pensjach szwajcarskich mężów sobie szukać. Gdzież zdrowy rozsądek?

Ruszył ramionami. — Jak sobie pościelisz tak się wyśpisz...

Na to młody Baron nie odpowiedział nic, spoważniał mocno.

— Niech ojciec kończy o rozwód w mojem imieniu — rzekł — Nie jestem przeciwny temu, aby nam straty się opłaciły, lecz ja najwięcej ucierpiałem i ja naturalnie mam prawo sam do indemnizacji.

Szambelan usta wykrzywił.

— Tem bardziej, że kochany ojciec myślisz się żenić, a że majątku mamy, tak jak nic, muszę o sobie pamiętać, dopóki angielki nie dostanę...

Mówił to pół żartem... — Z charakteru nieopatrzny, mając jeszcze znaczny zapas po Olimpji odziedziczony, — Zygmunt w istocie mniej teraz dbał, jak tam się to skończy, a żywił już nadzieję że nowe ożenienie wynagrodzi zawód doznany.

Ojciec więc z plenipotencją miał odjechać, ale kwaśny był...

— Niech będzie jak chce — dodał w końcu — mniejsza o to, o jedno proszę, ażebyś mi się nie pokazywał, nie wtrącał, nie mięszał i czekał cierpliwie co ja zrobię.

— Z największą przyjemnością...

Szambelan już odchodził, gdy Zygmunt, który ani na jego gniew, ani na dobry humor zbyt wielkiej uwagi nie zwracał, ujął go za rękę i prowadząc przez ogródek zatrzymał się z nim przed piękną, słusznego wzrostu blondynką, siedzącą z książką w cieniu kasztana...

—Miss Harriett pozwoli mi, — odezwał się zbliżając ku niej — przedstawić jej Szambelana Barona Dobińskiego, ojca mojego....

Szambelan zmuszony ukłonił się, angielka podała mu wąziuchną długą rączkę z uśmiechem, a w uśmiechu błysnęły prześliczne owe zęby nieco długawe charakteryzujące rasę angielską. Była w istocie bardzo piękną, a strój i postawa oznaczały w niej wychowanie arystokratyczne...

Szambelan przemówił coś o pogodzie jesiennej, o pięknościach jeziora... i po chwilce się oddalił...

Zygmunt odprowadziwszy go do furtki, wrócił i usiadł przy Miss Harriett, jak gdyby przed chwilą nie rozstrzygnęły się jego losy. Nadzwyczaj słabe to na nim uczyniło wrażenie, czuł się wolniejszym trochę tylko i postanowił goręcej zabiegać o łaskawe względy blondynki, i owych bajecznych stu tysięcy funtów, o których mu jakiś anglik powiadał.

O naznaczonej wieczornej godzinie, Szambelan z propozycją wielką, milczący, napuszony, zdęty wszedł drzwiami trzaskając do Radzcy, który w fotelu siedział zamyślony. Skłonił mu lekko głową. Stary wskazał krzesło... Z wyrazu twarzy jego nic Szambelan nie mógł wnieść nad to, że zdawał się zrezygnowany i spokojny.

— Oczekuję pańskich warunków co do rozwodu — rzekł cicho....

— Ani syn ani ja, na rozwód się nie zgadzamy — zawołał Szambelan — syn mój słyszeć o tem nie chce... Byłem u niego, mówiłem z nim, starałem się go skłonić ażeby tu przybył ze mną, o niczem słuchać, na żadne układy się zgodzić nie myśli.... dopomina się praw swoich i żony...

— I chce skandalicznego procesu? — zapytał Radzca.

— Nie lęka się go. Tymczasem zaś — szybko kończył Szambelan — postara się o to aby z panem uwodzicielem się rozprawić. Zygmunt strzela doskonale i ma nadzieję że nauczy go rozumu... któż wie? wówczas rozwód wcale może być niepotrzebny — dadzą go pistolety...

Radzca ruszył ramionami.

— Wątpię żeby znalazł go i mógł wyzwać, bo oni wyjechali ztąd — rzekł spokojnie. —Ja jutro za nimi jadę. Nie chcecie zgody, zmusić was do niej nie mogę, macie rachuby inne, nie przeciwię się. Rozgłosu i tak uniknąć trudno. Mnie nim nie zastraszycie... A zatem — dodał wstając z fotelu — nie mamy już o czem mówić.

Baron, który się wcale czego innego spodziewał, osłupiał, zmięszał się także... wstał powoli z krzesła...

— Chciałem wpłynąć na syna — rzekł, ale mi było trudno, tyle wycierpiał. Cóż dziwnego, że zemsty pragnie?

Radzca nie odpowiedział nic.

— Zatem — szepnął po chwili — cóż robić? Nie pozostaje jak uciec się do prawa...

— Radzca zechce wierzyć że z mej strony — zawołał Szambelan — dla obu rodzin chciałbym skandalu oszczędzić, że gotów bym mimo ogromnych strat materjalnych i moralnych, cicho i zgodnie wszystko załatwić.

— Sądzę, że to od pana wiele zależy.

— Tak, ale nie zupełnie... Zygmnnt stracił ostatki mienia po matce... złamany, schorowany... bez przyszłości.

—Starałbym się mu ją osłodzić — rzekł Radzca — lecz jeśli się upiera...

— Panie Radzco — zabiegł Baron — ja zrobię jeszcze krok do niego, zaklnę go, będę usiłował... Lecz cóż mu mam powiedzieć??

Na to pytanie którego Radzca zdawał się spodziewać, zrazu nie było odpowiedzi, zamilkł, zamyślił się.

— Mów pan, cobym mógł ofiarować?

— Mój syn nie chce nic... ja jako ojciec chciałbym dla niego jak najwięcej.

—Co się tyczy mnie—odparł Radzca, gotówem dać co tylko mogę, aby wyjść z tego stosunku raz na zawsze... Mam w banku pięćdziesiąt tysięcy talarów, niech pan Zygmunt je sobie weźmie, podpisując prośbę o rozwód... Więcej nie dam, bo nie mam...

Spojrzał na Szambelana, który mimo swej dyplomacji nie mógł być panem siebie, twarz mu rozpromieniała. Nie spodziewał się tak pięknej ofiary, gotów był zupełnie na jej przyjęcie i z szybkością egoisty rachował ile z tego dla siebie oderwać potrafi... W pierwszej chwili nie odezwał się ni słowa... Radzca milcząco odpowiedzi czekał...

— Co do mnie — wybąknął wreszcie Szambelan — przystaję, idę do Zygmunta. Nie idzie o sumę, idzie o to ażeby go skłonić do odstąpienia do pojedynku i namówić na rozwód.

— Uczyń to pan, łagodnie — dodał Radzca. — Ja do jutra stanowczej odpowiedzi czekać będę.

Tak skończyła się rozmowa zaczęta bardzo hałaśliwie, zamknięta w tonie dosyć pokornym i zwiastująca porozumienie. Radzca w ostatnich wypadkach lepiej poznawszy ludzi z którymi miał do czynienia, przewidział łatwo koniec ten i był pewien że pieniędzmi okupi sobie spokój. Odchodzącemu Szambelanowi, żegnając go z daleka, nie podał ręki, mimo że mu ją tamten wyciągał i zbył go dalekim ukłonem.

Szambelan już był u drzwi, gdy sobie przypomniał że powinien małym brudem powziętą o nim opinję potwierdzić. Z pośpiechem się zawrócił i dodał.

— Przepraszam pana Radzcę, mamy jeszcze mały rachunek z powodu tego ajenta

którego użyłem do odkrycia schronienia zbiegłych... Nie jestem przy wielkich kapitałach...

— A cóż tam się należy? — zapytał Radzca chwytając za pugilares.

— A! oprócz nocnej wycieczki, za którą mi kilkaset franków zapłacić kazano, dałem temu ajentowi trzy tysiące franków...

Radzca pospiesznie dobył trzy bilety bankowe, rzucił je na stół, dołożył złotem co brakło, skłonił się i usiadł nie mówiąc słowa.

Drobna ta okoliczność znacznie humor poprawiła Szambelanowi, pilno mu było skończyć z Zygmuntem, z Radzcą, zrealizować zyski i wyjechać na wieś z łupem, który długo namógł jego interesa poprawić. Jakoż nie zwlekając, jeszcze tego samego wieczora wrócił na pensję...

Przy stoliku przed domkiem na wolnem powietrzu, przy lampach, towarzystwo całe kończyło wieczerzę, gdy Szambelan do furtki zadzwonił. Zygmunt poznał go przez żelazną bramkę i sam pobiegł mu otworzyć.

— Ojciec jest czynnym tak — rzekł — że istotnie posądzam go iżby jeszcze mógł się wyśmienicie ożenić... Ale to trzeba być niezmordowanym!

— Gdy idzie o ciebie, kochany Zygmuncie, — rzekł z amfazą — nic mnie nie kosztuje.

— Wyśmienicie! zaśmiał się syn, przed parą godzinami byłem trutniem do niczego i wracam do praw ukochanego dziecięcia.

Ojciec przycisnął go do piersi.

— A! niewdzięcznik! — z bolu to i żalu czyniłem ci wyrzuty, a mimo to... patrz, o małom się nie pobił z tym skąpcem, Radzcą... targowałem się do upadłego i wyjednałem, mogę się pochwalić, warunki świetne... Ale kochany Zygmuniu... Twój ojciec ubogi... dasz mi porękawiczne!

Syn ruszył ramionami.

— Cóż ja dostanę? — spytał.

— Jak ci się zdaje... Dosyć by ci było dwadzieścia pięć... trzydzieści?

— Czego? co?

— A no, talarów i tysięcy...

— Wezmę co dadzą.

— Trzydzieści...? no? a reszta mnie? nieprawdaż... wszak ty to wszystko po mnie odziedziczysz. Czyż możesz przypuścić ażebym ja sześćdziesiąt lat mając się żenił?

— Nie — ale ojciec kochany stracisz wszystko... tak jak straciłeś już....

— Ja? na co?

— To są tajemnice stanu! — zawołał syn...—Ale, wieleż dają? wiele...?

— Powiem ci otwarcie, tobie dają czterdzieści, ja sobie utargowałem tylko dziesięć..... to mało.....

Spojrzał w oczy synowi, który się uśmiechał dziwnie.

— Tatku, — rzekł — to dosyć. Mówmy otwarcie. Wszak pieniędzy wziętych na urządzenie domu nie oddasz, a urządzać niepotrzebujesz, to ci piękną sumkę uczyni.

Szambelan pochwycony zarumienił się.

— Ja się z tego wyrachuję...

— Zostaw że mi całe pięćdziesiąt...

— A! to nie może być! — żywo zaprotestował Szambelan, — na żaden sposób..

Obrzydliwy targ ten między ojcem a synem trwał z kwandrans u furty ogrodowej. Zygmunt na pozór nieinteresowany, nadspodzianie piękną sumę mając na widoku, która mu dozwalała, dwa do trzech lat magnata grać rolę w podróżach po Europie, twardo stał przy zagarnięciu jej całej. Baron stary z równą zażartością bronił swojego interesu... W ostatku Zygmunt zmuszony był na czterdziestu poprzestać... Stanęła zgoda, i nazajutrz przy podpisaniu prośby o rozwód i potrzebnych papierów, Radzca przekaz do banku oddał do rąk Zygmunta.

Gdybym kończąc to nadto, niestety prawdziwe opowiadanie, dodał, że Zygmunt przyrzeczonych ojcu dziesięciu tysięcy wcale nie dał, moglibyście mi nie wierzyć szanowni czytelnicy, tak się jednak stało! Schowawszy szacowny ów papier do kieszeni, obiecał wprawdzie uiścić się jak skoro sumę podniesie, tecz Szambelan nigdy jej doprosić się nie mógł i przyszło do tego że między ojcem a synem nastąpił rozbrat zupełny. Szambelan na złość istotnie się myślał żenić, nie znalazł jednak podobno nikogo, coby się poznał na jego przymiotach i chciał losy podzielić. Pozostał więc na wsi gniewny, wyżółkły, grając pana w parafialnym kościele i w miasteczku przed żydkami... spekulując niefortunnie i zadłużając się coraz gorzej.

Zygmunt uwolniony z więzów małżeńskich, pozostał jeszcze przez czas jakiś w Genewie. Angielka bardzo mu się podobała, lecz sto tysięcy funtów zaczynały być co raz bardziej problematyczne. Po zasięgnięciu dokładniejszych wiadomości okazało, się że matka Miss Harriett miała dożywotnią pensję dosyć znaczną, a córka po ojcu dziedziczyła nie sto ale pięć tysięcy funtów.... i była prawie ubogą.

Miłość Zygmunta nie doszła do tego stopnia rozżarzeniu, ażeby skromną chatkę zadowolić się mogła, począł zwolna cofać się, chłodnieć... namyślać i odebrawszy listy z kraju pożegnał piękną blondynkę, przyrzekając jej zjechać się z nią w Medjolanie.

Tymczasem wprzódy jeszcze nim Radzca do Zabrzezia powrócił, nim Szambelan smętny dojechał do domu, już skrzydlate wieści, po cichu szeptane rozchodziły się w sąsiedztwie o rozerwanem dziwnie a tak niespodzianie prędko małżeństwie Barona z Olimpją. Sąsiedzi najeżdżali dwa dwory usiłując coś pewnego się dowiedzieć, gdyż prawionono najdziksze historje...

Szambelan napadany, odpowiadał z powagą wielką. — Ja byłem zawsze temu małżeństwu przeciwny, ale co to z młodemi? Zygmunt się zakochał... na nic nie zważał! Panna rozkapryszona, wypieszczona, pełna fantazji jakiejś.... Nie mógł w końcu Zygmuś wytrwać i sam zerwał... najbezinteresowniej. A cośmy na tem on i ja stracili! cośmy się nagryźli! Bogu tylko wiadomo... Zresztą i mówić o tem nie lubię...

W Zabrzeziu milczano, nikt pytać nie śmiał, czekano zwierzenia rodziców. Dalecy krewni wymagali wreście czegoś pewnego dla zaprzeczenia wieściom uwłaczającym rodzinie. Matka wzdychała przyznając pocichu, iż mimo jej wiedzy Olimpja miała dawne w sercu przywiązanie, które się gwałtownie odezwało...

Ani Olimpja ani jej mąż nie pokazali się tak rychło w domu rodziców. Z Genewy wyjechali do Włoch, a ślub dopiero w Rzymie mógł nastąpić, po dopełnieniu formalności rozwodowych.. Sąsiedztwo tymczasem nagadawszy się do syta (każdy opowiadał to inaczej) — umilkło...

Zygmunt rozstawszy się z angielką, nie bardzo chciał też wracać do kraju i nastręczać się ciekawym badaczom... na niedyskretne pytania... I on wyruszył też do Włoch... Obojętnem mu było dokąd ma jechać... i zamiast do Medjolanu zmierzył ku Wenecji, postanawiając tu zimę przepędzić.

Jakież było zdziwienie jego, gdy drugiego dnia po przyjeździe, z hotel San Marco wychodząc na Piazettę... zetknął się z hrabiną Klarą...

Szła otoczona całem dworem turystów jak królowa, wyświeżona, piękna, wesoła, śmiejąc się i rozmawiając... Na widok Zygmunta rzuciła swych wielbicieli i towarzyszów i podbiegła ku niemu.

— Baronie! cóż ty tu robisz? Sans rancune! nieprawdaż? — I podała mu rączkę...

— A! z wielką przyjemnością hrabinę spotykam.... Przyjechałem tu na zimę!

— Wystaw sobie! ja także! Taka bo to śliczna ta Wenecja wdowa, — a że i ja wdową jestem...

— Z dobrej woli? nieprawdaż? — spytał Zygmunt.

— Tak jest! Nie mam najmniejszej ochoty znowu skłaniać kark pod złote jarzmo... Powiedz mi, ale szczerze, czy bardzo staro wyglądam?

— Coraz młodziej...

Hrabina się uśmiechnęła...

— Wszak już, po rozwodzie? spytała.

— Wszystko skończone z zadowoleniem stron obu — rzekł Zygmunt.

— Gdzież Olimpja?

— Niewiem...

— Słyszałam coś, niedokładnie... Ojciec przybył?

— Tak jest... wyszukano ich, i mogliśmy się wzajem uwolnić od pęt które obojgu ciężyły...

— Nie masz do niej żalu?

— Najmniejszego.

— Ty bo jesteś dobry chłopiec w gruncie — odezwała się Klara ja to zawsze mówiłam. Zygmunt się skłonił.

— Nie prawdaż? będziemy teraz dobrymi przyjaciółmi.

Nowy ukłon zapieczętował traktat przyjaźni. Pół dnia tego spędzili razem z sobą na przechadzkach. Zygmunt bardzo był rad wesołej rozmowie, Hrabina usiłowała być dlań jaknajbardziej uprzejmą aby zatrzeć mnienie owej sceny bolesnej.

Stosunki pięknej jeszcze hrabinej z panem Zygmuntem coraz ściślejsze, na stopie poufałości, dla obcych tłumaczyły się podobno bliskiem pokrewieństwem', to pewna że dwa temperamenta ich jakoś się doskonale teraz godziły. Hrabina znała wszystkie wady przyjaciela, Zygmunt, który już raz w życiu dwa tygodnie się w niej kochał, całą jej przeszłość wiedział doskonale...

*

Dowcip Klary bawił wielce Zygmunta, który coraz stawał się leniwszym, Hrabina uzyskiwała nad nim władzę codzień większą, przerabiała go powoli, narzucała mu zręcznie swe przekonania, słowem opanowywała. Baronowi nigdy na myśl nawet nie przyszło, żeby ten stosunek miał się na inny, czulszy i ściślejszy zamienić; Klara zaś po półrocznem badaniu delikwenta zdaje się że powzięła pewien projekt grożący jego kawalerskiej swobodzie. Kazała mu czytać listy swego plenipotenta i pomagać sobie w interesach, co Zygmunta przekonało, iż Klara miała czystego dochodu piętnaście tysięcy talarów, sumę wcale miłą i dozwalającą żyć nawet za granicą z komfortem skromnym ale przyzwoitym. Umiała też hrabina wybadać go co do jego funduszów, z których jeszcze nie miał sposobności nic uronić, i nakłoniła go, aby nie tracił a z banku nie odbierał...

Jakoś ku wiośnie, nagle dosyć, gdy Zygmunt nawykł co dzień do niej na objad przychodzić, co wieczora u niej siedzieć, co rana razem spacerować, hrabina zaczęła się bardzo pilno wybierać do domu. Baron przyszedł, zobaczył te przygotowania, zdumiał się niezmiernie i stanął osowiały.

— Cóż się stało? — spytał.

— Ależ przecie do domu zajrzeć trzeba! — zawołała Klara.

— Po co?

— Choćby dla tego żeby tu nie przyrosnąć, bo ja nigdzie wrastać nie lubię, trzeba jechać, muszę.

— A, cóż ja tu będę robił? — rzekł Zygmunt.

Hrabina poczęła się śmiać, serdecznie.

— Cóż chcesz żebym dla ciebie tu siedziała?... a to doskonałe! Leniwy jesteś! nałogowy... starzejesz, przed czasem... Jedź, rozerwij się, poszukaj sobie kogoś... ożeń się...

— A! nie!—odparł Baron. Gdybym się żenić miał to chyba z kimś takim jak wy, kochana Hrabino, kogobym znał, był pewny, gdzieby mnie już żadna nie czekała zagadka...

— Mówisz mi komplement, — szepnęła Klara, — a doprawdy inaczej ci się za niego odwdzięczyć nie mogę jak wzajemnem oświadczeniem, iż gdybym miała kiedy głupstwo to popełnić i iść za mąż... to tylko za dobrego jak wy, starego i wypróbowanego przyjaciela.

— Ale, nie za mnie? — spytał Baron.

— Hm! jak ci się zdaje?

— Mnie się zdaje, że nadto mnie pani znasz, abyś mogła pójść.

— Nadto, nie, bo to bezpieczeństwo stanowi gdy się zna złe i dobre strony.... ale ty byś się ze starą jak ja kwoką nie ożenił?

— Pszepraszam.... ożeniłbym się.

Podała mu rękę—No, to zgoda.—Zygmunt uradowany w rękę ją pocałował, ale Klara skoczyła mu na szyję.

— Pamiętaj tylko, bałamuctw żadnych! to warunek! będę się gniewała...

— A charge de revanche.

— To się rozumie...

— Ludzie się dopiero zdziwią, gdy o tem posłyszą — zaśmiała się Klara...

W istocie zdziwił się nie jeden, a naprzód ojciec Zygmunta, który wyglądał że matką nowej dynastji będzie jakaś znakomita cudzoziemka herbowna, tu zaś.... hrabstwo owe było dosyć świeże a dom z którego wyszła Klara... trącił skartabelatem... Szczęściem u nas drzewa genealogiczne podlane deszczem złotym, rosną łatwo, a w starożytnościach się rozpatrując, znajdzie tam każdy co mu potrzeba... Umieć tylko szukać należy. Z innych względów małżeństwo to, dające rękojmię ustatkowania się Zygmunta, było Szambelanowi pożądane. Obawiał się on panny Adeli...

Złe języki powiadały, że mimo przyrzeczenia danego żonie, Zygmunt wyrywał się do Warszawy i tam potajemnie spędzał wieczory u dawnej przyjaciółki... lecz też inne gorsze jeszcze twierdziły iż w czasie niebytności Zygmunta w domu, młody lekarz z sąsiedniego miasteczka zbyt często hrabinę Klarę odwidzał, i że ona nigdy tak nie chorowała uparcie jak w czasie nieobecności męża. Marne plotki! ktoby tam temu wierzył! W lat parę zestarzały już Szambelan miał przyjemność doczekać się wnuka i na rzecz jego, nie mogąc odebrać ich, przekazał owe dziesięć tysięcy, które mu tyle krwi napsuły. Imiona na chrzcie dano mu Zygmunta, Adama, Konstantyna, Ksawerego, Hippolita. Dynastja została ugruntowaną i Baron miał nadzieję, że następne pokolenie wejdzie już niechybnie w zaczarowane owe koło wybranych, w którem widzieć je pragnął.

W Zabrzeziu mało kto bywał, dom się zamknął, Radczyni oddała się cała praktykom religijnym i nabożeństwu najgorliwszemu, surowo obchodząc posty i zakładając bractwa a świadcząc klasztorom. Radzca podupadł na zdrowiu i w świecie się mało ukazywał. Olimpja z mężem przyjeżdżała tu często z za granicy, kupiono im bowiem dobra w Czechach, sprzedawszy część od Zabrzezia, ale czasu pobytu u rodziców cale się nie pokazywała... Nierychło potem ładny chłopaczek, którego sobie babka wyprosiła u rodziców, ożywił nieco smutną rezydencją i Radzcę nawet rozweselił... krzywili się tylko krewni na demokratyczne nazwisko państwa Bratanków, dopóki ojciec, jako ostatniej z rodziny nie wyrobił Olimpji urzędownie pozwolenia przyłączenia do nazwiska męża, świetnego imienia rodziców...

Wszyscy więc prawie wyszli w końcu szczęśliwi, daleko lepiej niż się zwykle w życiu trafia, bo tu nikt nigdy nie kończy ani jakby pragnął, ani jakby powinien...

WYBORY W AMERYCE.

Obraz zdjęty z natury

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

Mieszkając od dłuższego już czasu w Stanach Zjednoczonych, ciekawy byłem, w jaki sposób odbywają się tam wybory reprezentantów kraju. W tym celu udałem się do Waszyngtonu, siedziby prezydenta i kongresu, lecz posiedzenia tegoroczne właśnie się skończyły, elekcje zaś ogólne miały nastąpić dopiero za lat trzy na całej przestrzeni obszernych Stanów Zjednoczonych; uwiadomiono mnie tylko, iż jeden z reprezentantów Texas, niedawno umarł; a zatem w niedługim czasie nastąpią wybory w okręgu St. Antonio, tam przeto mógłbym przypatrzeć się temu co pragnąłem widzieć.

Wypytawszy się dokładnie, w jakim czasie mniej więcej wybór miał się odbyć, wsiadłem na okręt żaglowy, który w piętnaście dni miał mnie zawieść do Texas, lecz wiatry niepomyślne, trzymały nas daleko dłużej od lądu aniżeli kapitan okrętu sądził, tak iż dopiero w wigilję dnia wyborów mogłem przybyć do Austin, stolicy Stanu, — a że do St. Antonio trzeba było jechać jeszcze dwa dni konno, spóźniłem się więc o jedną dobę i nie mogłem być przytomnym walce elektoralnej, — która nazajutrz miała się tam odbyć. Lecz nie straciłem nic na tem, bo spotkawszy jednego kandydata, który na gwałt uciekał z pola bitwy, dowiedziałem się wszystkiego. Kandydat ów, gdym mu oświadczył że spiesznie dążę do St. Antonio na wybory, rzekł do mnie: „Skoro tak usilnie chcesz się pan tam dostać, sądzę że jesteś jednym z kandydatów na reprezentanta... w takim razie, życzę panu szczęśliwego powodzenia, i oznajmiam, iż jednego współzawodnika będziesz miał mniej do zwalczenia, bo ja nim byłem, ale uciekam od tej zarazy, nie chcąc mieć żeber połamanych, nóg lub rąk pokaleczonych, albo głowy roztrzaskanej, i wolę, wróciwszy do Nowego Orleanu być subjektem w jakim składzie bawełny lub cukru, aniżeli reprezentować w kongresie tak słodkich i miłych mieszkańców, jakimi są Texańczycy.“ Poczem wyszedł z sali, wsiadł na konia i odjechał z kilku towarzyszami.

Gdym się zapytał przytomnych tej krótkiej rozmowie gości hotelowych, co mają znaczyć słowa wyrzeczone przez tego jegomości, który nas dopiero opuścił, — opowiedzieli mi całą historję i ganili niewytrwałość, jaką okazał, nie broniąc uporczywie swej kandydatury, przez co utracił korzyści, jakie miał osiągnąć, gdyby został wybranym na reprezentanta w kongresie.

Był to Don Miguel y Conha y Grabos etc. etc.*) urodzony w Luizjanie, potomek znakomitej ongi rodziny hiszpańskiej, która przed półtora przeszło wiekiem osiadła była w Ameryce, gdzie doszła do bardzo znacznego majątku.

Po śmierci rodziców, zaledwie w 18 roku życia, odziedziczył Don Miguel cały ów majątek, składający się z dużych obszarów, gdzie rosły trzcina cukrowa i drzewka, których owoce dostarczają bawełny, wraz z 500 murzynami obojej płci do uprawiania tych produktów południowej Ameryki**) również z wielu zabudowań potrzebnych do wyrabiania cukru i pras ugniatających bawełnę. Wszystko to wynosiło około 2.000.000 dolarów (przeszło 4,000.000 zlr.)

Młody, przystojny, pan wielkiego majątku, oddał się z całą namiętnością, cechującą ludzi urodzonych pod gorącem niebem Luiziany, roskoszom tego świata. Trzeba bowiem wiedzieć, że

---

*) Wiadomem jestj iż hiszpańska szlachta ma czasem kilkanaście imion i może mieć tyleż nazwisk; y znaczy niemieckie von lub francuskie de, to jest pan na takiej a takiej posiadłości. Jeżeli więc pra-pra-pra-dziad szlachcica hiszpańskiego posiadał 10, 15 lub 20 włości, w swoich tytułach wymieniał wszystkie kładąc przed każdą *y* — a potomkowie choćby zostali właścicielami jednej, lub nawet nie mieli żadnej, używają zawsze tytułów pra-pradziada.

**) Instytucja niewolnictwa istniała jeszcze wówczas w Stanach południowych.

jak we wszystkich zwyczajach i obyczajach mieszkańcy Stanów Południowych, różnią się od tych, którzy zamieszkują Stany Północne i Wschodnie, tak też i w używaniu majątku podobnie się dzieje. I tak, w Stanach Północnych, wszyscy mężczyźni, czy ubodzy czy miernego mienia, czy nareszcie bogaci lub nawet miljonerzy, bez względu na to czy to starzy czy młodzi, pracują gorliwie i wytrwale. Żaden z nich zatem nie ma czasu oddawać się owemu zatrudnieniu pochodzącemu z próżniactwa, które w Europie nazywają hulanką. W Stanach zaś południowych praca za czasów niewolnictwa, była pogardzaną i wszyscy bez wyjątku właściciele murzynów oddawali się słodkiemu farniente. Kto miał bodaj jednego lub dwóch niewolników, żył wyłącznie z ich pracy, sam wstydząc się jakiegokolwiek zatrudnienia, a kto miał ich pięciuset, którzy mu przynosili pół miljona dolarów rocznego dochodu, hulał całe życie.

Don Miguel y Conha y Grabos itd. hulał tedy nielitościwie. Nowy Orlean, Hawana, Nowy-York, Filadelfja, Baltimore i inne wielkie miasta amerykańskie nie nastręczały mu jednak dosyć rozrywek; pojechał więc do Londynu, zkąd znudzony umknął na stały ląd europejski opierając się aż w Paryżu, w tem Eldorado wszystkich birbantów całego świata, gdzie z nieskrępowaną swobodą i roskoszą zużywał młode lata i ogromny majątek po rodzicach odziedziczony.

Nieustająca ta uczta trwała lat kilka, aż nareszcie jego rządca w Luizianie, który mu ciągle dosyłał pieniędzy, a swoje interesa przytem nie źle prowadził, na nowe żądanie funduszów odpisał, że z pięciuset murzynów nie pozostało jak trzydziestu kilku, a fabryki wyrabiające cukier, równie jak prasy tłoczące bawełnę tak są obdłużone, że niepodobna mu nadal zasilać pieniędzmi swego pana. Równocześnie radził, że Don Miguel powinien sam przybyć do Luiziany i zarządzić resztkami swego mienia, bo on (rządzca) przyzwyczajony gospodarować na wielkich tylko majątkach, przyjął obowiązek u innego bardzo bogatego pana.

Po odebraniu takiego listu, Don Miguel zrozumiał dopiero teraz, że największe bogactwa mogą się wyczerpać, jeśli nie są wspierane rozsądną pracą, połączoną z oszczędnością. Opuścił więc kochany Paryż i wsiadłszy na jeden z parowców, powracał smutny do Nowego Orleanu. Przez kilkanaście dni podróży morskiej łamał sobie głowę, jakimby sposobem przyjść na nowo do wielkiej fortuny, którą tak nieoględnie i w niedługim stosunkowo czasie roztrwonił.

Praca i spekulacje nie przedstawiały mu żadnego widoku, gdyż pracować nie przystało mu i nie umiał; do spekulacji zaś potrzeba było umysłu przedsiębiorczego i znacznych kapitałów a tych, niestety! nie posiadał. Wpadł więc na myśl, wspólną wszystkim młodym jeszcze birbantom, którzy puściznę po ojcach nieoględnie roztrwonili... ożenienia się dobrze.

Z tą myślą wylądowawszy w stolicy południowych stanów, odwidził kolejno wszystkich ajentów miasta trudniących się kojarzeniem małżeństw. W Stanach bowiem, gdzie niewolnictwo murzynów istniało, z małżeństwa robili właściciele niewolników niemniej ohydny handel, nie idąc bynajmniej za przykładem Stanów północnych, gdzie każdy pracujący, ufny w swoją czynność i przemysł, żeni się z osobą, która mu się podoba, ale nie z jej posagiem.

Ajenci tedy małżeństw, ofiarowali mu swoje pośrednictwo (ma się rozumieć za znaczne wynagrodzenie) i wskazali mu kilka kreolek posiadających po 50, 80, 100, 120 i sto pięćdziesiąt murzynów obojej płci, lecz to wszystko było za mało dla naszego bohatera, który zaledwie skończył 25 lat wieku, a w dodatku był przystojnym i wykształconym w towarzystwach paryskich.

Znalazł wreszcie, czego szukał. Jedna z pozostałych mu murzynek miała siostrę, niewolnicę u kreolskiej piękności, już oddawna pełnoletniej, a utykającej trochę na jedną nogę, która była właścicielką 500 murzynów i pragnęła pójść za mąż.

Opanowany gorączką dostania żony z dużym posagiem, słuchał każdego, kto mu ją nastręczał, nawet czarnej niewolnicy. Nasz panicz upajał się tedy opowiadaniami murzynki, która będąc przywiązaną do swego pana, bo ten był dla niej dobrym, a nadewszystko bojąc się, by jej nie sprzedano innemu, który może byłby okrutnym, namawiała go do małżeństwa z bogatą kreolką.

Don Miguel nie myślał ani o wieku małżonki, ani o jej kalectwie, gdyż pragnął tylko złota... dużo, bardzo dużo tego marnego kruszcu, bo z nim tylko można hulać do woli. Ufając swej urodzie i umiejętności nabytej w Paryżu podbijania serc niewieścich, nie wątpił, że gdy kreolkę pojmie za żonę, łatwo ją nakłoni do porzucenia Ameryki, a zamieszkania w stolicy roskoszy.

Szybko i zręcznie wziął się zatem do dzieła i w piętnaście dni po pierwszem widzeniu oświadczył się o jej rękę. Niemłodej już kreolce podobał się tak urodziwy i dowcipny zalotnik, przystała więc bez wahania na jego oświadczyny pod tym atoli warunkiem, że wpierw spoważnieje trochę i postara się zostać reprezentantem narodu. Jak skoro wybiorą go w którymkolwiek okręgu, odda mu niezwłocznie swoją rękę, wraz z 500 czarnymi niewolnikami.

Ponieważ Don Miguelowi spiesznie było ożenić się bogato, bo dłużnicy natarczywie nacierali i nie mógł czekać wyborów ogólnych, które dopiero za półczwarta roku miały nastąpić, oświadczył więc narzeczonej, że może zbyt długo będzie musiał wzdychać do szczęścia, którego się spodziewał w spełnionem małżeństwie; ale niezłomna kreolka odparła, że Stany Zjednoczone są bardzo obszerne, zatem codziennie prawie zdarza się, że jeden z reprezentantów umiera lub opuszcza swoje stanowisko, a w takim razie rozpisują zawsze wybory uzupełniające.

Z gorączkowym niepokojem szukał Don Miguel opróżnionego krzesła, a dowiedziawszy się nareszcie, że wybór uzupełniający miał się właśnie odbyć w stanie Texas, w okręgu St. Antonio postanowił współubiegać się tamże o godność reprezentanta narodu. Działo się to w tym samym właśnie czasie, gdy ja dążyłem do St. Antonio dla przypatrzenia się wyborom amerykańskim.

Don Miguel zebrał tedy wszystkie dowody potrzebne — mianowicie: akt urodzenia, który udowadniał, że kandydat skończył lat 24, świadectwo jako jest obywatelem amerykańskim, drugie, że nie był sądzonym w żadnej sprawie kryminalnej, nareszcie dowody stanu i religji, a pożyczywszy od lichwiarzy (bo i w Ameryce jest pełno żydów, którzy się trudnią tym zyskownym fachem) 50,000 dolarów, na przyszły posag żony, dając tymczasowo w zastaw pozostałych mu trzydziestu kilku murzynów, wraz z cukrownią i prasami do tłoczenia bawełny, które chociaż bardzo obdłużone, przedstawiały jeszcze dostateczną rękojmię, wynalazł ajenta elekcyjnego p. Hopkau, trudniącego się przygotowaniem wyborców i posłał go do St. Antonio, zaopatrzywszy w 25,000. dolarów na pierwsze potrzeby, nareszcie na kilka dni przed wyborami wyruszył sam w drogę do Texas, mając w kieszeni drugie 25.000 na ukończenie zaczętych przez swego ajenta usiłowań.

Już minął Austin, stolicę Stanu, którego reprezentantem tak gorąco pragnął zostać i miał tylko pół dnia drogi do St. Antonio, gdy nagle ujrzał pędzącego cwałem posłańca z listem od p. Hopkau. Ajent uwiadomił Don Miguela, ażeby się zatrzymał w drodze i nie przybywał do St. Antonio aż nazajutrz i to późno w nocy.

— Aha! — rzekł do kilku towarzyszów podróży po przeczytaniu listu — rozumiem dla czego uprasza p. Hopkau, abym nie przybywał aż jutro i to w nocy. Pewnie przygotowani mieszkańcy i wyborcy, urządzają ucztę na przyjęcie swego kandydata, która nie jest jeszcze gotową, niezawodnie chcą mnie powitać ogniami sztucznemi i rzęsistą iluminacją... Niechaj i tak będzie, zastosuję się do ich woli...

Stanąwszy w lesie, kazał służbie założyć obozowisko, rozpalić ogień, przygotować kolację, a tymczasem wziąwszy strzelbę, poszedł ubić kilka sztuk zwierzyny tak obfitej w puszczach i lasach texańskich... Przyniósł istotnie kilka turkawek i jednego daniela, zaczęto je piec przy ogniu, obiecując sobie smaczniejszą, jak zwykle w tym bezludnym kraju, wieczerzę. W tej chwili, jakiś tentent cwałującego konia dał się słyszeć, naprzód z daleka, potem coraz bliżej, aż nareszcie ujrzano tuż przy ognisku jeźdźca, który niespokojnym głosem zapytał, czy to jest obozowisko Don Miguela y Conha y Grabos itd. kandydata udającego się na wybory do St. Antonio? Na potwierdzającą odpowiedź, zsiadł szybko z konia, a rozpatrzywszy się nieco w ciemności nocnej poznał Don Miguela. (D. n.)

PIENIADZE PAPIEROWE
w Polsce.
Przyczynek do naszej historji.

(Dokończenie.)

Oto dalsze postanowienia tyczące się pieniędzy papierowych:

Art. 16. Fałszujący billety kassowe, oraz ich pomocnicy i wspólnicy niemniey ci wszyscy, którzyby billety sfałszowane, wiedząc o ich fałszu za prawdziwe wydawali, karanemi będą podług całey surowości praw, a kara, iaką odbiorą, przez Gazety ogłoszoną zostanie.

Wykraczającemu służyć nie może do ulżenia kary, ani szczupłość zrządzoney przez występek szkody, ani też wynadgrodzenie oney z własnego maiątku.

Art. 17. Kto pierwszy doniesie do którey-kolwiek z władz kraiowych, fałszującego billety kassowe, za dowiedzeniem tego występku, otrzyma w nadgrodę trzy tysiące złotych, z główney kassy wymiany, a gdyby donoszący znaydował się w obcym kraiu, wtedy takową nadgrodę odbierze przez Naszego Ministra w tymże kraiu akredytowanego.

Zachowujemy sobie, nadgrodę wyżey wyrażoną podwyższyć o ieden lub więcey tysięcy

złotych, za odkrycie fałszowania takiego, do któregoby używane szczególne formy i Instrumenta, dla nadania fałszowanym billetom kassowym bliskiego podobieństwa do prawdziwych, a przez które odkrycie zapobiegłoby się rozmnożeniu ilości fałszowanych billetów.

I t. d.“

Podobne bilety kasowe puszczono w obieg za Królestwa Kongresowego w r. 1823, ale że żadnego ich egzemplarza nie miałem w ręku, więc nie mogę dać ich opisu. To mi tylko jest wiadomem, że można było niemi czynić wszelkie wypłaty do kas publicznych na równi z gotowizną; zmieniano je na gotówkę za opłatą 1 grosza od każdych 5 złotych. W prywatnych stosunkach co do ich przyjmowania była ta sama swoboda, co i biletów z czasów Księstwa Warszawskiego.

Z czasów Królestwa Kongresowego znane mi są dwa rodzaje biletów bankowych z r. 1830: na pięć i pięćdziesiąt złotych polskich.

15. Pięć złotych. Dług. 7^{cm} 8^{mm}, wysok. 12^{cm} 2^{mm}, na białym papierze. S. G. u góry pod koroną w ozdobnym otoku piątka rzymska, a na niéj piątka arabska. Poniżéj napis: „BANK POLSKI wypłaci Okazicielowi w Srebrze ZŁOTYCH PIĘĆ po $86\frac{86}{125}$ z czys. grzy. Kolońs. w Warszawie dnia 1° Maia 1830. PREZES BANKU: Lubowidzki. DYREKTOR BANKU: Głuszyński.“ — Na S. O.: dwie piątki arabskie czarnym tuszem odciśnięte.

16. Pięćdziesiąt złotych. Dług. 15^{cm}, wys. 11^{mm}, białe. S. G.: W ozdobnym otoku podobny napis jak wyżej, tylko zamiast pięć czytamy pięćdziesiąt i podpisy inne. S. O.: Liczba wartościowa odbita niebiesko.

Na obydwóch biletach znajdują się znaki wodne.

Za rewolucyi 1830—1831 r. wypuszczono w obieg tylko bilety jednozłotowe.

17. Jeden złoty. Dług. 6^{cm} 2^{mm}, wys. 10^{cm}, na zielonym papierze. Skromny otok, w narożnikach którego czytamy: RO-KU-18-31. U góry herby Polski i Litwy; pod niemi: „Zł.: 1-1-ZŁOTY JEDEN Bank Polski wypłaci Okazicielowi. Podpisano: Głuszyński.“ Poniżéj wklęsło wyciśnięte: ZŁOTY JEDEN. Z prawej strony u dołu nazwisko rytownika Minheymers.

Niektórzy zaliczają jeszcze do pieniędzy papierowych Królestwa Polskiego rubla z r. 1858, lubo niewłaściwie, gdyż jest to już bilet bankowy rosyjsko-polski.

Z czasów powstania 1863 znajdują się cztery rodzaje biletów: na pięć, dziesięć, dwadzieścia pięć i czterdzieści złotych.

18. Pięć złotych. Dług. 14^{cm} 8^{mm}, wys. 10^{cm} 6^{mm}, na cienkim białym papierze drukiem koronkowym. W narożnikach piątki rzymskie, w środku herby Polski, Litwy i Rusi, a naokoło napis w dwóch łukach: MONETA NARODOWA POLSKA — PIĘĆ ZŁOTYCH POLSKICH.

19. Dziesięć złotych. Długość i wysokość jak wyżéj. Odbicie takie same, tylko napisy zamiast czarnych białe, a w narożniku w miejsce liczb wartościowych napisy: DIX FLORINS POLONAIS — ZEHN POLNISCHE GULDEN — TEN POLISH FLORINS — DIECI FIORINI POLACCHI.

20. Dwadzieścia pięć złotych. Dług. 11^{cm} 5^{mm}, wys. 16^{cm} 2^{mm}, blado żółte. S. G.: Otok ozdobny z chorągwi, na których czytamy: WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ I BRATERSTWO — JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA, z kos i innej broni. W czterech narożnikach liczba wartościowa „25 i L. O. 12. s. 6 d. — Francs 15 cent. 62. — Franchi 15 cent. 62. — Pr. Thaler 4. 5 slbgr.“ U góry orzeł polski z przepaską na piersiach, na której: BÓG I LUD; nad nim wstęga z napisem: RZECZPOSPOLITA POLSKA. Po bokach: „25 ZŁP. DWADZIEŚCIA PIĘĆ ZŁOTYCH POLS. SKARB WYZWOLONEJ POLSKI wypłaci okazicielowi z proc. 5% licząc od (tu zostawione miejsce wolne na wpisanie daty nabycia) ZA KOMITET CENTRALNY EUROPEJSKI podpisano Józ. Mazzini. ZA KOMITET CENTRALNY POLSKI: J. Worcell, S. Zienkowicz, A. Żabicki.“ Pod tem dwie pieczęcie. Na jednej dwie dłonie trzymające się i napis w otoku: KOMITET CENT. EUROPEJSKI; na drugiej orzeł z przepaską na piersiach a naokoło: KOMITET CENT. POLSKI. U dołu czapka frygijska. Na S. O.: Pół pieczęci czerwonéj z orłem, któréj druga połowa odbita była w księdze kontroli.

21. Czterdzieści złotych. Dług. 21^{cm} wys. 13^{cm} 4^{mm}, na białym papierze czarnym tuszem. W narożnikach liczba wartościowa: czterdzieści, u góry herb Polski, Litwy i Rusi; pod tém napis: OBLIGACYJA TYMCZASOWA POŻYCZKI OGOLNEJ NARODOWEJ. W myśl Dekretów Rządu Narodowego z dnia 10° Października i 15° Grudnia 1863 roku ustanowiona. 40. CZTERDZIEŚCI ZŁOTYCH POLSKICH. CZŁ. KOM. DL. NAR., podpisano: J. Ordęga. KOM. RZ. NAR. K. Ruprecht. U dołu dwie pieczęcie wypukło odciśnięte z herbami Polski, Litwy i Rusi; na jednej napis: RZĄD NARODOWY. KOMISSYIA DŁUGU NARODOWEGO, na drugiej: RZĄD NARODOWY. RÓWNOŚĆ WOLNOŚĆ NIEPODLEGŁOŚĆ. Pieczęcie te przegradza w otoku rok 1863.

Znane są także blankiety z wodnemi znakami na dwa, pięć i dziesięć złotych, do odbicia jednak tych biletów nie przyszło.

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

III.

(Ciąg dalszy).

Powiadamy, iż pewnym stanom fizycznym odpowiadają jeszcze stany moralne — twierdzenie jednak podobne łatwo dowieść się daje tylko w tych razach, w których owa odpowiedniość występuje w faktach bardzo wyraźnych. Tak np. wierzymy w nią, gdy ktoś pod wpływem opium lub widocznej choroby dopuszcza się przestępstwa, ale niknie ono dla nas zupełnie, gdy właściwości fiizycznej nie dostrzegamy. Czy jednak to nas upoważnia, ażebyśmy wtedy zaprzeczali związku między stanem fizycznym a moralnym? Bynajmniej. Dowodzić bowiem w ten sposób, znaczyłoby dowodzić, że np. silnemu dźwiękowi fortepjanu odpowiada silne uderzenie, ale słabemu żadne, gdyż on jest samorodny.

Ta zależność duchowego od fizycznego ustroju jest kwestją niezmiernej wagi, przy badaniu praw wszelkiej zatem i moralnej dziedziczności. Przyjąwszy ją bowiem jako fakt podstawowy możemy za jego widocznym śladem jednej jego składowej części odkryć niewidoczny drugiej. Innemi słowy: mając łatwo dostrzegalne prawa dziedziczności fizycznej, możemy przy ich pomocy wynaleść takież, chociaż tylko ogólne prawa moralnej. Powiedziałem wyżej, trzymając się formuł Ribota, które wreszcie nauka już dawno określiła, że dziedziczność fizyczna w granicach rodzaju i gatunku jest zjawiskiem niewątpliwem (człowiek rodzi człowieka — murzyn rodzi murzyna); co zaś do dziedziczności w granicach familji ta następuje zawsze ile razy jej zbyt specjalnemu charakterowi nie przeciwstawią się jakieś modyfikujące ją przyczyny. Wszystkie te definicje prowadzą nas bezpośrednio do następującego wniosku: dziedziczność słabnie w stosunku prostym do zacieśnienia się jej granic. To znaczy, iż jej maximum mieści się w rodzaju a minimum w familji, czyli że np. dziecko najwięciej dziedziczy cech ludzkich a najmniej rodzinnych. Alboż nie? Czyż każdy człowiek nie jest podobniejszy do swego ojca, jako człowieka, niż do swego ojca jako osobnika? Między Eskimosem a Francuzem jest większe pokrewieństwo niż między Francuzem a jego ojcem, jeżeli naturalnie temu ostatniemu odejmiemy to co należy do ogólnie ludzkiej natury. Tym sposobem więc powyższe prawo: dziedziczność słabnie w stosunku prostym do zacieśniania się jej granic, — służy za podstawę drugiemu: możność modyfikowania dziedziczności słabnie w stosunku odwrotnym do zacieśniania się jej granic. To znaczy, iż łatwiej np. bezwiedne lub świadome przyczyny mogą wyrodzić syna od ojca jako ojca, niż od ojca jako człowieka. Że syn zbrodniarza pod działaniem umyślnie lub przypadkowo nań skierowanych wpływów może być cnotliwym, to sobie wyobrażamy, lecz ażeby ów syn pod działaniem tychże wpływów przemienił się na istotę — nieludzką, tego wyobrazić sobie nie możemy.

Pozostaje nam więc tylko rozstrzygnąć najważniejsze w tej kwestji pytanie, mianowicie czy w ogólności jakiekolwiek wpływy zewnętrzne mogą modyfikować ustrój duchowy człowieka? Mojem zdaniem, mogą, a chociaż poniższa odpowiedź na to pytanie jest hipotezą, w każdym jednak razie taką jak wszystkie teorje odnoszące się do objawów zmysłami niedostrzegalnych i według mojego poglądu najlepiej tłumaczącą fakta, które obserwować możemy. Dowody na których ją wspieram są następujące:

1. Tego rodzaju zjawiska, w których dzieci przedstawiają podobieństwo z charakterem rodziców, mogą mieć rzeczywiście i zapewnie mają swe źródło w dziedziczności usposobień, obok niej wszakże musimy przyznać szereg innych źródeł składających warunki rozwoju. Przypuszczać np. na podstawie cytowanego przez Dr. Lucas i Ribota wypadku, w którym upicie się ojca było przyczyną złych instynktów zrodzonego w tym stanie i wyróżniającego się od innych dziecka, przypuszczać, mówię, że to może być wpływem decydującym na naturę charakteru, a ciągły stosunek dzieci z rodzicami i z otoczeniem wytwarza wpływy bardzo słabe, jest to rozumować przeciwko wszelkiej logice. Posługujący się tą metodą materjalizm ani spostrzega do jakiego absurdum ona go wiedzie. Bo jeżeli człowiek jest, jak powiadają, chemicznym związkiem, w takim razie stosować do niego można prawa wszystkich chemicznych związków, to jest że ludzie połączeni ze sobą bezpośrednio muszą na siebie oddziaływać tak jak chemiczne ciała i że np. syn poddany działaniu ojca, matki, braci, sióstr, służących, krewnych, znajomych itd. musi uledz wpływom tych ciał według praw swego z niemi chemicznego

powinowactwa. Dowodzić zaś przeciwnie jest to dowodzić wbrew własnej zasadzie; np. że kwasu siarczanego nie można niczem rozłożyć ani na co innego zamienić. Jeżeli właśnie która, to materjalistyczna doktryna najbardziej (chociaż mimowoli) popiera hipotezę modyfikacji w rozwoju człowieka przez zewnętrzne wpływy.

Tu jeszcze zauważyć muszę jeden szczegół. Zwolennicy nieograniczonej dziedziczności trafiwszy na wypadek, w którym jedno dziecko „mimo jednakowego z innemi wychowania i otoczenia“ okazuje odmienne usposobienia, wyzyskują go na korzyść swojej teorji. Mojem zdaniem jest to zbyt śmiało i zbyt nieoględnie. Bo jaką oni mają rację twierdzić, że wychowanie tego dziecka było rzeczywiście z innemi jednakowe? Ciż sami rodzice, dom, otoczenie? To niczego nie dowodzi. Kto się zastanowił nad tem, jak złożony jest każdy mechanizm wychowania, jak często ledwie dostrzegalne wpływy zostawiają niezatarty ślad w formującym się organizmie, ten w zeznaniu przypadkowo spotkanych rodziców, zapewniających że wychowanie ich dzieci było zupełnie jednakowe, nie będzie widział usuwającego wszelką wątpliwość świadectwa. Z własnych wspomnień przekonać się możemy, jak nieraz drobny szczegół wywarł na nas w dzieciństwie niestarte wrażenie i cząstkowo zmodyfikował charakter. Rodzice zresztą nie zawsze nawet dostrzegają tych subtelnych wpływów, rzadko bardzo dostrzedz umieją, w zeznaniu ich więc może być szczerość ale nigdy naukowy dowód. Ztąd też trudno się dość nadziwić, że tak głęboko myślący i rozważni pisarze, jak Ribot i Lucas, tego rodzaju oświadczeniem rodziców i to rodziców prostych, nieoświeconych, nie mających zatem pojęcia o pedagogicznej obserwacji — posługują się jak stanowczym argumentem. Ojciec i matka wiedzą tylko tyle, że swoje dzieci jednakowo karmią, odziewają, strzegą, lubią itd. — zdaje im się więc że je zupełnie jednakowo wychowują, gdy tymczasem nieraz drobna niesprawiedliwość popełniona względem dziecka może wyrazić się potem osobną właściwością jego charakteru. Nie należy tu rozumieć jakobym chciał usunąć wszelką dziedziczność — i owszem poniżej wskażę w jakich granicach ona przyjętą być musi. Idzie więc przedewszystkiem o to, ażeby jej fatalizmu nie przeceniać i ażeby w uformowaniu się charakteru nie uznawać wyłącznie jej praw. Bezwzględni jej obrońcy zwykli za wielką przywiązywać wagę do mozolnie uzbieranych i polepionych genealogij, w których pewna moralna cecha przechodzi z jednego pokolenia na drugie. Bo jakkolwiek ma w tem swój znaczny udział dziedziczność ale ma także co najmniej równy otoczenie, wychowanie. Dlaczego syn zbrodniarza ma być zbrodniarzem przez to jedynie, że go zbrodniarz zrodził a wcale nie przez to, że go zbrodniarz kształcił? Jakie logiczne lub fizyczne prawo upoważnia nas do przypuszczenia, że wszystkie wpływy, cała atmosfera rodzinna nie oddziaływa wcale na rozwijający się charakter, któremu niczem niewzruszoną prawidłowość dała natura ojca lub matki jeszcze przed urodzeniem się? Z jakiego powodu jedna chwila może a dziesiątki lat nie mogą wpłynąć na moralny ustrój dziecka?

2. Zarówno gwałtowne zwroty moralne w jednostkach jak i w masach wykazują siłę zewnętrznych niezależnych od dziedziczności wpływów. Czy teorja dziedzicznego fatalizmu tłumaczy nam raptowne nawracanie się Magdalen, ciężkie pokuty zatwardziałych zbrodniarzy, pojawianie się w pewnych epokach tych lub innych moralnych usposobień? Bynajmniej. Jeżeli zbrodniarz odziedziczył po ojcu skłonność do zbrodni, która nie ulega działaniu żadnych warunków, dla czegóż więc przestaje być zbrodniarzem?

3. Mimo uroczystych zapewnień Schopenhauera jest rzeczą niewątpliwą, że nieraz ze świadomością zmieniamy nasze pobudki, wybierając szlachetniejsze, tj. że się poprawiamy. Wprawdzie zdarza nam się to i udaje bardzo rzadko, ale się udaje. Radzę przeczytać pamiętnik Franklina i przekonać się, jak ten znakomity człowiek codzień spisywał swoje błędy w osobnych rubrykach, jak obserwował, które popełnia najczęściej, jak się z nich starał poprawiać i jak się poprawił. Schopenhauer mógł sobie temu wierzyć lub nie wierzyć, my jednak pomiędzy nim a Franklinem wahać się nie będziemy. Człowiek który był tyle szczerym, że każdy swój grzech publicznie wyznawał, nie miał potrzeby kłamać względem powodzenia swojej metody.

4. Bezwzględni obrońcy dziedziczności wyławiają z kronik sądowych wszystkie te fakta, w których zboczenia przechodzą drogą familijnego spadku, zupełnie zaś pomijają takie, w których te zboczenia występują odosobnione. Takich zaś faktów jest nieskończenie więcej i one wskazują ważność wpływów otoczenia i wychowania. Nie będę przytaczał tego rodzaju zdarzeń, które każdy z czytelników może nawet z własnego doświadczenia poczerpnąć. Ażeby jednak nie zostawić twierdzenia bez faktycznego dowodu, wybieram najwymowniejszy jaki mi się spotkać zdarzyło, mianowicie wyznanie filozofa, bystrego spostrzegacza, człowieka który aż do subtelności zanalizował swój charakter, słowem wyznanie cesarza Marka Aureljusza. W jego mało znanych „Rozmowach z sobą“, które dziś jeszcze są niezmiernie ciekawym traktatem, mieści się następująca spowiedź.

(D. n.)

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zameldowałem się księciu, który mi kazał mieć gotowe konie, pocztowe lub jakie mi się dostać uda za pomocą magistratu, bo najdalej za 2 godziny wyekspedjuje mnie do Krakowa. Wróciłem tedy do miasta; bo książe trochę za miastem nad rzeką miał kwaterę.

Koni pocztowych rzeczywiście nie było, ale mi burmistrz wskazał przygotowane furmanki, z których najlepszą, chociaż zawsze bardzo lichą wybrawszy, oddałem memu człowiekowi do dozoru, włożywszy na wóz odtroczone moje efekta. Ledwom się z furą załatwił, wyszedłem na miasto szukać pożywienia; w tem nadjechał z częścią sztabu swego G. Różycki, zdawszy komendę korpusu pułkownikowi Kwiatkowskiemu. Wskazałem Generałowi mieszkanie księcia, dokąd się udał sam; reszta zaś sztabu zsiadła z koni koło domu burmistrza, gdzie dla Generała przygotowana była kwatera. Ze sztabem przybył porucznik Edward Chamiec, którego bardzo lubiłem, i który mi w niektórych misjach moich towarzyszył. Prosiłem go tedy, żeby moje konie i człowieka wziął pod swoję protekcję, i kazał im zajść w Krakowie do hotelu Męciszewskiego, gdyż ze mną forsownym marszem, będąc już i tak pomordowane, kilkanaście jeszcze mil zrobić nie są w stanie. Obiecał mi to najszczerzej poczciwy Edward, ale młodość jego i niedoświadczenie pozbawiły mnie tych poczciwych zwierząt, które mi tak wiernie przez całą kampanję służyły.

Generał właśnie wrócił od księcia; dał mi znak, żebym za nim się udał. Zastaliśmy w jego kwaterze przygotowane śniadanie; ale nim siedliśmy do niego zawezwał burmistrza, i innych urzędników, żeby się zaraz stawili. Nim przyszli zasiedliśmy we dwoje z Generałem do śniadania, przy którem oświadczył mi cel mojej podróży. Miałem więc nasamprzód jechać do Krakowa, tam się udać do tamtejszego komitetu pod przewodnictwem Morsztyna zostającego. Komitet miał mi dopomódz, oraz dać pieniądze na kupno galarów i wyekspedjowanie tychże do Igołomji, dla przeprawienia korpusu do Galicji; poczem miałem się udać na Podgórze do Generała austrjackiego i wyrobić u tegoż paszport do Lwowa, ażeby księciu Lobkowiczowi oddać depeszę, proszącą o przyjęcie do kraju i protekcję dla naszego korpusu.

Ta ostatnia misja dosyć dla mnie miała powabu. Nadszedł też i burmistrz i zawezwani urzędnicy. P. Generał zarekwirował od nich pieniądze, które koniecznie potrzebne były, do wypłacenia zaległego przez kilka dni żołdu. Po dosyć krótkiej naradzie zgodzili się na to, że wydadzą za rozkazem i kwitem Generała, pieniądze depozytowe. Nie tracąc czasu, poszliśmy do kasy, i tam różną monetą wydano nam kilkanaście tysięcy złotych, które zaraz obecny płatnik korpusu zabrał.

Wkrótce przybiegł sekretarz ks. Adama, wzywając mnie do niego. Generał poszedł ze mną razem; tam mi wręczono depesze do Krakowa i Lwowa; książe zalecał mi największy ile być może pośpiech. Pożegnawszy go, i uściskawszy Generała, z którym już nigdy nie miałem się widzieć, pospieszyłem do mego forszpana.

Chamiec czekał na mnie, z którym pożegnawszy się i poleciwszy mu raz jeszcze moje konie, pojechałem smutny, że się tak prędko kończy moja wojskowa karjera, że wszystkie nadzieje spełzły na niczem, i że za parę już dni opuszczę kraj, cały już prawie zalany moskiewskiem żołdactwem.

Pomimo obietnic i napędzania furmana nie bardzo spiesznie jechałem. Nie daleko od Pińczowa zmieniłem konie; dostałem trochę lepsze od jakiegoś szlachcica; dojechałem niemi do miasteczka Skalmierza. Tam mi oświadczono, że żadnego konia w całem miasteczku nie ma, że wszyscy się powynosili obawiając się Moskali. Położenie moje zaczęło się robić bardzo krytycznem. W tem widzę nadjeżdżający patrol z sześciu jezdzców Legji litewsko ruskiej złożony pod komendą znajomego mi dobrze Walerego Tarnowskiego z Horochowa. „Burdo ratuj!“ — zawołałem na niego, bo trzeba wiedzieć, że go tak koledzy nazywali. Opowiedziałem mu moje położenie. Rozskoczyli się ułany po miasteczku, i za pół godziny wynalazł mi Burda koni parę w lochu żydowskim schowanych; gwałtem trzeba było iść wziąć i wyszukac wozu, którym mnie jakiś gwałtem przymuszony tkacz powiózł.

Ten wóz dowiózł mnie do Igołomi, gdzie

dostałem od jakiegoś urzędnika celnego świeże konie, któremi mnie sam do Krakowa odwiózł.

Wysiadłem w Krakowie z hotelu Męciszewskiego, gdzie już dużo zastałem znajomych kolegów, zmierzających do Galicji. Sprowadziłem się do stancji Józefa Żółtowskiego; a umywszy się i przebrawszy poszedłem zaraz do komitetu, do którego mi drogę wskazał p. Zieliński, znajomy mi, niegdyś jako chłopiec przedający we Lwowie po wałach i oberżach szwarc i scyzoryki, później jako faktor u mego ojca w czasie jego podróży do Bandiowa; niby trochę literat, tłumaczył licho z francuskiego, Gonzalwa z Korduby, którym to utworem napastował szlachtę na kontraktach z bezwstydną natarczywością, którzy, żeby się odczepić napaści, kupowali.

Teraz zastałem go w Krakowie, w stroju polskim kosztownym, udającego jakieś wpływy w komitecie. Jakim sposobem się tam wkręcił? jakim znowu sposobem przyszedł do dość znacznego majątku w cyrk. Żółkiewskim, i do przyjaźni z obywatelami znakomitymi tego kraju, jakoto: z Józ. Jabłonowskim, Tad. Łosiem, Urbańskim i wielu innymi, co jego kuchnię i piwnicę wysławiali? tego zupełnie nie pojmuję, i dochodzić nie myślę; był korespondentem tego co Herbarz w Poznaniu wydał; wywody mnóstwa szlachty jego robota, a brał za każdy ukraszony 50 duk. za całkiem fałszywy 100 duk. ztąd majątek, i piękny Herbarz, kiedy to podobno i Niesiecki tak robił.

Przyszedłszy do komitetu, zastałem w salonie źle oświetlonym Morsztyna, kasztelana Franciszka Wężyka, gen. Skrzyneckiego i jeszcze parę osób. Skrzynecki usłyszawszy tylko, że jestem z korpusu Różyckiego, w którym w czasie przejazdu mego, gdy chciał się widzieć z Jenerałem i ten na jego spotkanie z kilku oficerami wyjechał, przez niektórych z tychże był obelżywie przyjęty; a mianowicie odznaczali się z głupich robionych mu wyrzutów, Frydr. Wielkórski i Pilchowski, porucznik Wołyńców; Skrzynecki więc nie dosłyszawszy mego nazwiska, w obawie żeby się znowu z takimi półgłówkami nie spotkać, chciał wyjść z salonu; co zobaczywszy, postąpiłem ku niemu, bom mu był dobrze znany, bywając w jego domu w Warszawie, w czasie kiedy Eustachy Sknapski przyjechał odwidzić siostrę, a jego żonę, witając go z uszanowaniem. Został więc w salonie, i wypytywał się o szczegóły dni ostatnich.

Przez ten czas przeczytał Morsztyn depesze i prosił mnie, żebym nazajutrz rano do komitetu przyszedł, zrobić interes o galary, które stały do wyboru na brzegu Wisły.

(C. d. n.)

REKRUCI.

Z pośmiertnych pism Wit. Hałka.

Ciągną rekruci... O! żal się Boże!
Ze smutkiem ciągną i łzami,
Żegnają tęsknie dziewczęta hoże:
„Już my nie wasi — Bóg z wami!“
A z piersi matek głos tkliwy leci:
„Dzieci wy nasze, o! dzieci!“

Ciągną rekruci z karczmy podpili...
Hop! ha! z fantazją mkną wielką:
„Już my nie wasi rodzice mili,
Ani krwi jedną kropelką!“
A z piersi matek głos tęskny leci:
„Dzieci wy nasze, o! dzieci!

Ciągną rekruci... Dzikim okrzykiem
Pijana tłuszcza ta wyje:
„Kto przeciw nam ten buntownikiem,
Pierś mu bagnetem przebiję!“
A z piersi matek jęk głuchy leci:
„Dzieci wy nasze, o! dzieci!“

Ciągną rekruci... ciągną w dzień jasny,
Obok swojskiego zagonu:
„Gdyby nam w drogę wszedł ojciec własny,
Nie znajdzie u nas pardonu!“
A w oczach matek łza krwawa świeci:
„O! nie, — nie nasze to dzieci!“

Wł. Bełza.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ III.

(Ciąg dalszy.)

P. Karol okazał się w istocie nader wiernym swojej „zasadzie.“ Z rozmaitych wież miasta biła nazajutrz rano zaledwie piąta godzina, gdy pojawił się w sypialnym pokoju p. Tadeusza, niepospolicie dumny z tego, że mógł zbudzić wieśniaka przyzwyczajonego do rannego wstawania. P. Karol rozmyślał przez noc nad projektami swojego przyjaciela, i odkrył w nich mnóstwo stron humorystycznych, między któremi niemałą odgrywała rolę podróż dzisiejsza. Ilustrował on też całe przedsięwzięcie p. Zameckiego z tego stanowiska, z jakiegoby je widział „świat,“ gdyby mu ono było znanem we wszystkich szczegółach. Ale p. Tadeusz był niezachwianym, i z zimną krwią odpowiadał na wszystkie przycinki.

— Żartuj sobie zdrów — rzekł ubierając się, podczas gdy w drugim pokoju lokaj przyrządzał kawę — wiem, że nie myślisz i połowy tego, co mówisz. Nie pojmuję w istocie, jaką ty przyjemność znajdujesz w tem, aby się wydawać ile możności gorszym, niż jesteś?

— Nie chcę psuć sobie reputacji na wypadek, gdyby mi kiedy przyszła ochota rozpocząć na nowo zawód prawniczy. Nie uwierzysz, ile to przynosi nietylko przyjemności, ale i korzyści. W owym procesie, który wygrałem, rzecznikiem przeciwnej strony był skończony łotr, otaczający się i dotychczas otoczony aureolą nieskazitelnej uczciwości. Dzięki reputacji, jaką sobie zrobiłem, miał on mię za szubrawca równego sobie, i wpadł w łapkę, którą mu nastawiłem. Uwierzył między innemi, że byłbym gotów pod pewnemi warunkami sprzedać mojego klienta za pewną sumę, i dostarczył mi ewikcji, bez której wygrana w procesie na nicby się nam była nie przydała. Cha, cha — gdybyś też był widział jego minę, gdy mu w końcu powiedziałem w cztery oczy, za kogo go mam, i jak mocno oszukał się na mnie?

— Ależ ja nie prowadzę z tobą procesu, i spodziewam się przytem, że nie uważasz mię za fałszywego poczciwca, dla czegoż chcesz mnie oszukiwać twoją pozorną złośliwością?

— Ja ciebie nie oszukuję, daję ci tylko przedsmak tego, co świat powie o tobie, gdy się dowie kiedyś o twoich postępkach.

— Niedbam nigdy o to, co świat powie, jestem człowiekiem pozytywnym, egoistą najczystszej wody, i robię zawsze tylko to, co mi jest dogodnem i co mi się podoba.

— Gdyby ci się podobało w tej chwili wypić kawę i kazać zaprzęgać konie, byłoby mi to bardzo na rękę. Pani Drozdowska i moja żona czekają na nas; kazałem także przygotować niektóre drobiazgi niezbędne w garderobie dziecinnej, bez których obchodzi się zapewne dotychczas przedmiot naszej wyprawy. „Potęga względów światowych,“ o której mówiłeś wczoraj tak przekonywająco, jest „bogiem,“ dzięki któremu przysiągłbym, że moja mała — siostrzenica nie posiada ani jednego z artykułów niezbędnych do chodzenia po świecie, nawet najmniej potężnym i najbardziej względnym...

P. Zamecki westchnął i spojrzał na p. Karola wzrokiem, który przerwał jego elukubrację. Podał on tylko w milczeniu rękę p. Tadeuszowi, i wkrótce obydwaj ci pozytywni egoiści zajechali dzielną czwórką i eleganckim koczem przed pomieszkanie p. Skryptowicza, gdzie czekała już pani Drozdowska, i usiłowała przekonać panią Karolowę o wielkości ofiary, jaką zrobiła z siebie wstając tak rano i decydując się jechać tak daleko z miasta, w którem zatrzymywały ją obowiązki jej zawodu. Była to wykonawczyni jednej z niewielu uczonych profesyj, pozostawionych niewiastom. Jej tusza, wiek, salopa i kapelusz były nie nowej daty, a konwersacja jej należała do najmniej zajmujących pod słońcem. Widok czwórki, powozu, i dobrze karmionej liberji wprawił ją w takie dygi i ukłony, że zaledwie zdołano wsadzić ją do powozu, gdzie koniecznie chciała siedzieć z przodu, z uszanowania dla p. Zameckiego. Ten ostatni nie dopuścił atoli do takiego ubliżenia godności płci pięknej, i usadowił się sam na przedniem siedzeniu obok zawiniątka, które wyniosła p. Skryptowiczowa, wybiegłszy, aby pożegnać się z mężem i uścisnąć rękę p. Zameckiemu. Zrobiła to tak serdecznie, choć w milczeniu, i tak przytem miała oczy pełne łez, że p. Tadeusz nie miał potrzeby dowiadywać się od Karola, że jego żona wie o wszystkiem.

Ledwie ruszył powóz, pani Drozdowska poczęła na przemian to rozglądać się, czy kto znajomy widzi ją jadącą w tak pięknej „karecie,“ to znowu wzdychać, że czas nie pozwolił jej wysłuchać przed podróżą mszy świętej u OO. Jezuitów, której nigdy nie opuszcza, to nakoniec zastanawiać się obszernie nad pięknością i lubością dziatwy w ogóle, w szczególności zaś nad zaletami tego egzemplarza, o który chodziło w tym wypadku. Pokazało się, że pani Drozdowska przejęta jest w tej mierze prawdziwie macierzyńskiemi uczuciami, i że od siedmiu lat nie opuściła żadnej sposobności pofolgowania tym uczuciom, jakkolwiek kosztowało ją to bajońskie sumy, zważywszy jej szczupłe środki. Za miastem atoli świeże powietrze położyło tamę tym wylewom serca i pani Drozdowska pochyliła się najpierw parę razy naprzód w sposób nader nieprzewidziany i zatrważający, następnie zwiesiła głowę na bok i znalazła chwilowy punkt oparcia na ramieniu p. Karola, wcale nie ocarowanego tym nadobnym ciężarem, aż nareszcie oparła się na poduszkach powozu i śniła już tylko o jego okazałości, i o mszy św. u OO. Jezuitów, i o lubej dziatwie. P. Karol skorzystał z tej drzymki, ażeby wyjaśnić p. Zameckiemu, że jejmość siedząca obok niego otrzymała przed laty wcale znaczną ryczałtową sumę pieniędzy, w zamian za którą wobec prawa i natury podjęła się zastąpić matkę powierzonemu jej dziecku, i że za podobną, ale znacznie mniejszą kwotę zdecydowała się obecnie przelać te prawa i obowiązki swoje na niego i na jego żonę. Pochodzenie dziecka miało zostać tajemnicą, i w tej mierze można się było spuścić na p. Drozdowskę.

Po dwóch godzinach jazdy, krajobraz dotychczas mało urozmaicony, począł przybierać ile możności jednostajniejszy jeszcze kształt i koloryt. Mimo majowej pogody i majowej zieloności, wszystko dokoła czyniło smętne wrażenie zupełnej próżni, takiej, jaką krytyka zagraniczna wyrzuca czasem naszym pejsażystom, podziwiając ich oraz, że umieją robić obrazy z „nic“ tak absolutnego. Po jednej stronie drogi, wznosiła się wolna pochyłość, którą zajmował szaro-zielony ugór, pozbawiony wszelkich bujniejszych śladów wegetacji. Po drugiej stronie było nieco łąk, także niezbyt hojnie uposażonych od natury, za niemi potok, a dalej znowu wolna pochyłość podzielona na czarne i zielone smugi, stosownie do wcześniejszego lub późniejszego gatunku zboża, jakiem ją zasiano. Nigdzie drzewa, krzaku, ani innego jakiego punktu oparcia dla strudzonego oka. Jedynym śladem żywych istot były nędzne sztuki bydła, pasące się tu i owdzie na ugorze, strzeżone przez dzieci w ubogiem, brudnem płóciennem ubraniu. Dzieci te wszystkie były podobne do siebie — włos jasny, oko niebieskie lub siwe, wzrok idjotyczny, kształty wynędzniałe albo nabrzmiałe chorobliwie. Serce ściskało się na myśl, że ludzie mogą rodzić się, wzrastać, żyć i umierać nie widząc nigdy nic, oprócz tej pustyni ciągnącej się w prawo i w lewo, której uprawa świadczyła tylko, jak wiele człowiek od niej wymaga, a jak mało jej daje. Podróżni nasi czynili melancholiczne uwagi nad wpływem, jaki wywierać musi otoczenie podobne na charakter ludu, zamieszkującego te nie ożywione niczem obszary, i szukali odbicia idjotycznego pejsażu w oczach pastuszków, których spotykali. W ten sposób droga zbliżała się do wsi, świadczyła o tem chata stojąca samotnie na łące nad potokiem, zaledwie ogrodzona, z wałącemi się zabudowaniami gospodarskiemi. Jedna, jedyna wierzba wyciągała nad nią w niebo swoje chude pręty, jak gdyby wołała o pomstę za swoje towarzyszki, z których ostatnia zapewne tej zimy padła pod siekierą, bo zima była nielitościwie ostra. Na łące bielało się parę gęsi, a koło nich siedziała na trawie mała dziewczynka, otulona podartą w łachmany koszulką z grubego płótna. Dziewczynka ta miała włosy i oczy czarne, rączęta i nóżki drobne, i była tak niepodobną do ogólnego typu, spotykanego w tych stronach, jak krajobraz z weselszych okolic do pustyni rozlegającej się w koło. Widok koni i powozu wprawił ją w zadziwienie, w rodzaj zachwytu różnego wielce od bezmyślnego wytrzeszczenia oczu, jakie uważali podróżni nasi u innych dzieci. Pan Karol dotknął ręką swojego towarzysza, ażeby zwrócić jego uwagę, i nie mówiąc ani słowa, wskazał mu dziewczynkę.

— Stań! — zawołał p. Tadeusz na woźnicę. To ona! to niezawodnie ona!

Powóz zatrzymał się, a pani Drozdowska, dzięki znanemu prawidłu fizycznemu, oparła się nosem na zawiniątku, które leżało obok pana Tadeusza. Zbudzona w ten sposób z miłego snu, rozglądnęła się w koło z pewnem zadziwieniem, a zorjentowawszy się w sytuacji, poczęła dowodzić, że nie spała wcale, a tylko odmawiała pacierze, których nie mogła odmówić u OO. Jezuitów. Na zapytania zaś p. Tadeusza nie mogła dać żadnej odpowiedzi, pokazało się bowiem, że od czasu jak oddała powierzone sobie dziecię na wieś, nie była tam nigdy, i znała zaledwie nazwisko gospodarza i gospodyni, którym je oddała. P. Karol zniecierpliwiony wyskoczył z powozu i przywoławszy dziewczynkę, zapytał ją, jak się nazywa.

— Ołena — odpowiedziało dziecię.

— A ojciec twój?

— Tatunia ne ma.

— To matka, gdzie matka twoja?

— I mamy ne ma — rzekło dziecię, wcale obojętnie.

— Jakto, nie masz i matki? Któż był twoją matką?

— Dit'ko.*)

— Kto ci to powiedział?

— Neńka kazała.

— Gdzież ta neńka?

Zamiast odpowiedzi, dziecię wskazało ręką chatę. P. Tadeusz wysadził panią Drozdowską z powozu, i dowiedziawszy się od niej o nazwisku włościan, których szukał, wziął dziewczynkę za rękę i poszedł z nią ku chacie. P. Karol i pobożna jejmość zdążyli za nim. Na progu zastali kilkoro dzieci jasnowłosych, jedzących wspólnie jakąś strawę z dużej miski. Dziewczynka, która przyszła z nimi, stanęła nieśmiało pod ścianą i patrzyła to na nich ze zdziwieniem, to rzucała wzrok pożądliwy na miskę, ale nie zbliżała się do niej. Mimowoli podróżni nasi zatrzymali się przed tą sceną.

— N a, j i c z! — odezwało się jedno z dzieci, podając czarnookiej dziewczynce dużą drewnianą łyżkę.

Nie dała się prosić dwa razy, i zaczęła jeść z apetytem, który aż nadto dobrze dowodził, jak dawno nic nie miała w ustach. Ale zaledwie przytuliła łyżkę do ust, kiedy z izby wypadło coś na kształt jednej z trzech czarownic Makbeta, ale coś nierównie brudniejszego i straszniejszego. Poczwara ta wyrwała dziecku łyżkę z ręki, i uderzyła je nią po głowie, nie szczędząc razów i słów obelżywych. Sensem moralnym tej apostrofy, trudnej do powtórzenia, było, że córka „dit'ka“ nie ma prawa jeść z ludzkiemi dziećmi, bo zagubiła wczoraj jednę gęś z powierzonego jej stadka. Na krzyk ten wyszedł z chaty gospodarz, i nim spostrzegł gości z miasta, począł strofować żonę za jej nieludzkie obchodzenie się z „sierotą.“ Jędza zwróciła się ku niemu ze swoim gniewem, i podróżni nasi byliby byli świadkami nader ożywionej sceny małżeńskiej, gdyby gospodarz spostrzegłszy ich nie był odepchnął swojej wdzięcznej polowicy tak energicznie, że zatoczywszy się, poznała panią Drozdowską.

Zacna ta dama poznała także karmicielkę małej Helenki, i uważała to za swój obowiązek, tem dobitniej nabrać ją z góry za obchodzenie się jej z dzieckiem, im bardziej sama czuła się winną. Oburzenie jej było srogie i wymowne, tak wymowne, że p. Tadeusz i p. Karol zmuszeni byli położyć koniec tej powodzi słów, przedstawiając p. Drozdowskiej, że jej rzeczą było, nie dopuścić do tego, co się stało, i że teraz nie może zrobić nic lepszego, jak tylko załatwić rzecz czemprędzej stosownie do danych sobie poleceń. Przedewszystkiem zaś musiano zapłacić włościanom pewną stosunkowo niewielką sumę za siedmioletnie utrzymanie dziecka, dotychczas bowiem nie otrzymali byli ani grosza — pani Drozdowska zmuszoną była sama przyznać się do tego wyskoku swojej uczciwości.

(C. d. n.)

*) Dit'ko, w narzeczu ruskiem: djabeł.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

„Mimowolnie pobiegliśmy zaraz wszyscy w stronę gdzie się ląd ukazał—opowiada Payer— chociaż wiedzieliśmy dobrze, iż niezliczone przerwy i szpary w lodzie nie pozwolą nam dojść dalej jak na milę od okrętu. Widzieć tak blisko przed sobą nieznany wielki kraj, mieć sposobność do odkrycia tak rzadkiego w dziejach wypraw podbiegunowych, a mimo to nie módz dostać się do celu, było dla nas męczarnią Tantala. Kra niosła okręt bez ustanku za lada wiatrem, gdyby więc który z nas był stąpił przypadkiem na jaką inną płytę lodu, łatwo mógł być odciętym i zgubionym. Wróciliśmy na okręt smutni i złamani, ażeby czekać co los zdarzy. Nareszcie przy końcu października, zbliżyliśmy się do jednej z wysp, oddalonej od lądu niespełna o trzy mile i tu kra zatrzymała się, a z nią i nasz okręt. Po zdruzgotanych i spiętrzonych bryłach lodu wstąpiliśmy na ziemię pod 79° 54′ szer. Trudno sobie wyobrazić smutniejszą i bardziej pustą wyspę, ale miała ona dla nas nieskończenie wielką wartość, chociaż pokrywał ją całą tylko lód i mocno zmarznięty śnieg, i dla tego nadaliśmy jej imię hr. Wilczka, protektora naszej wyprawy. Objęliśmy ją też w posiadanie w imię cesarza, i spisawszy krótką historję wyprawy, złożyliśmy tutaj ten dokument, przysypawszy go stosem kamieni.“

Zabezpieczeni skalistem wybrzeżem wyspy od natarczywości lodów, poczęli podróżnicy już we wrześniu przygotowywać się na przebycie drugiej zimy. Zrobiono płozy pod łodzie, aby je można łatwiej z miejsca na miejsce przeciągać, okręt rozstrojono podobnie jak w roku przeszłym, pozatykano okna, a tułów jego otulono nasypem śnieżnym, i pożegnawszy słońce już 21. października, zbudowano w pobliżu dwa domki ze śniegu dla umieszczenia w nich instrumentów magnetycznych i astronomicznych. W pierwszym tygodniu po zajściu słońca, w godzinach brzasku, zrobił Payer kilka wycieczek, w których zapuścił się aż do 10 mil morskich od okrętu, starając się nabyć jaśniej sze wyobrażenie o kształcie i rozległości lądu. Noc polarna zmusiła do odłożenia dalszych ekskursji do powrotu dnia, którego oczekiwano z niecierpliwością, obawiając się, żeby wiatry nie oderwały kry od wyspy Wilczka i nie uniosły jej w inną stronę. Odtąd jednak miało już szczęście sprzyjać stale wyprawie, wynagradzając jej dotychczasowe zawody. Zima przeszła szczęśliwie i spokojnie, lody nie ściskały okrętu, który stał jakby przykuty do miejsca i obserwacje magnetyczne, meteorologiczne i astronomiczne mogły być, bez przeszkody robione. Prowadzono je też z największą ścisłością od dnia do dnia bez żadnej przerwy aż po dzień 15. maja 1874 r. Weyprecht pisze, że czas nadspodziewanie sprzyjał tego rodzaju doświadczeniom. Niewymownie piękne zorze, igrające blaskami białemi, zielonemi i czerwonemi, oświetlały horyzont, który płonął w niezrównanej wspaniałości i rozlewał czarodziejską jasność, niepodobną do opisania. Kiedy zorza na niebie jaśniała, rozjaśniał się i umysł znękanych podróżników i łagodziło się to przygniatające wrażenie, jakie wywiera długa i głucha noc polarna. Igła magnesowa znajdowała się w ciągłym niepokoju, zboczenia jej bywały tak wielkie, że podobnych jeszcze nigdy

nie zauważano, a niekiedy traciła przeciwnie zupełnie swą czułość. Nie zbywało też całej załodze na zajęciach i rozrywkach, a nadto jeszcze nawijały się białe niedźwiedzie na strzał, których świeże mięso, najskuteczniejszy środek przeciw szkorbutowi, przyczyniało się niemało do utrzymania dobrego stanu zdrowia załogi. Jakoż choć kilku ludzi zachorowało, toć jednak zostali wyleczeni, i tylko maszynista Krisch zapadł w ciężką chorobę płucną, z której niestety nie miał się już podźwignąć.

Uszczęśliwieni zrobionem tak niespodziewanie odkryciem, obchodzili wesoło wigilję Bożego narodzenia, drugą z kolei wśród pustyni polarnej. „Jedną z niewielu chwil szczęśliwych w naszej pełnej przygód podróży — pisze Dr. Kepes — był uroczysty obchód świąt Bożego narodzenia. Wśród odwiecznych lodów tej krainy śmierci, orzeźwiły się umysły wspomnieniami domowych ognisk, i chociaż bez nadziei rychłego wybawienia z więzów lodowych, przeżyliśmy kilka godzin w roskosznem zapomnieniu, oddając się niezmąconej niczem wesołości. Żadno z owych tysięcy dzieci w dalekiej ojczyźnie nie było pewnie weselszem w dniu 24. grudnia 1873, nie oczekiwało z większą niecierpliwością tej wieczornej uroczystości familijnej, od nas, zagnanych daleko od naszych rodzin, odciętych od całego świata, od nas, których los zależał od lada silniejszego podmuchu wiatru, od gwałtowniejszego uderzenia kry, lub zerwanej z okolicznych lodowców bryły lodu. Przyśpiewując sobie wesoło i zachęcając się wzajemnie do ciężkiej pracy na trzaskającym mrozie, kończyli nasi majtkowie lodowy pałac, zbudowany umyślnie na tę uroczystość o kilkaście kroków od uwięzionego Tegetthoffa. Od kilku dni już pracowali oni nad tem dziełem, nieznanej cywilizowanej Europie architektury, obrabiając bryły lodu w kształt cegieł i spajając je następnie roztopionym śniegiem w mury kryształowe, igrające przy świetle blaskiem djamentów. Chyłkiem, z miną tajemniczą wykradał się ten i ów z okrętu do tego lodowego pałacu, wynosząc coś pod futrem, i po chwili powracał, aby znowu coś niepostrzeżenie zabrać i cichaczem wynieść. Ku wieczorowi przywdziali majtkowie co mieli najlepszego i w uroczystym pochodzie udali się do pałacu. Z uderzeniem 7. wstąpił sztab do sali, której widok uderzył niezwyczajnością. Ściany oświetlone oszczędzanemi od dwóch miesięcy kawałkami świec i olejnemi lampkami, szkliły się i połyskiwały, jakgdyby zbudowane z szlifowanych kamieni. Dokoła zdobiły je festony porobione z kolorowych chustek, chorągwie i flagi, pośrodku stał stół, nakryty białą jak śnieg bielizną, a nad nim wznosiła się choinka — prawdziwie polarna choinka, na której nie było ani jednej zielonej igiełki, coby wśród martwoty zimy budziła nadzieję wiosny. Pospajane w kształt gałęzi jodłowych żerdki i kołki, upstrzone frendzlami z białego, czerwonego, niebieskiego i zielonego papieru mogły chyba w bardzo bujnej wyobraźni wywołać obraz żywego drzewa. Ale na tej niedołężnej imitacji choinki wisiały podarki ofiarowane nam niegdyś umyślnie na ten cel przez zacne damy w Pola i we Wiedniu: paczki cygar, kapczuki z tytoniem, cygarniczki i fajki piankowe, portmonetki z kilku guldenami srebrnemi wewnątrz, zegarki kieszonkowe, kiełbasy różnego rodzaju, czokolada i tp. inne drobnostki. Na stole stało 18 nakryć z szynką i świeżo upieczonym chlebem, a prócz tego cały szereg rozmaitych rodzajów wódek, które dla majtków naszych szczególnie miłym były darem. Załoga powitała starszyznę okrzykami, na które Weyprocht serdeczną odpowiedział przemową. Przystąpiono następnie do losowania świątecznych darów, poczem oficerowie, spędziwszy kilka chwil z majtkami, powrócili na statek, aby w szczuplejszem kółku dokończyć uroczystości. Gdyśmy z domu wychodzili, płonęła na niebie niezrównanej wspaniałości zorza, jakoby nato zapalona, aby uczcić tę świętą noc pokoju i zbawienia i ożywić w przygniecionych sercach naszych gasnącą nadzieję. Przybywszy do kajuty, którą majtek Marola odświętnie przystroił, zasiedliśmy po wzajemnych życzeniach do stołu, zastawionego z niezwykłym zbytkiem. Przy każdym nakryciu stała bowiem cała flaszka wina i oprócz zwyczajnych dań świątecznych, grochowej kiszki i czokolody, pojawił się na końcu jeszcze specjał nad specjałami, strudel z'jabłkami, którym sprawił nam niespodziankę poczciwy Orel. Podczas kiedy majtkowie raczyli się w lodowej sali, wznosząc toasty rozcieńczonym bardzo rumem, ubiegło nam kilka godzin tak przyjemnie, żeśmy prawie zapomnieli o smutnej rzeczywistości naszego położenia.“

Ale rzeczywistość ta wkrótce się przypomniała. Po zrobionych w przeszłem lecie doświadczeniach, nie można się było spodziewać wyswobodzenia okrętu w przyszłem lecie, a przeciwnie należało się obawiać, że okręt, podniesiony z jednej strony tak wysoko, będzie musiał obalić się skoro śnieg odtaje. Powiększała niepokój jeszcze ta okoliczność, że lekarstwa, bez których niepodobnaby przebyć trzeciej zimy, były wyczerpane zupełnie. Weyprecht zwołał więc na radę oficerów i postanowiono jednogłośnie, że nie pozostaje nic innego, jak opuścić okręt w ciągu maja i próbować wrócić do Europy na saniach i czółnach. Aż do tego czasu miano zwidzić i rozpoznać ile możności jak najdokładniej odkryty ląd, robiąc nań wycieczki saniami i pieszo jak tylko noc się skończy. Po 125 dniach doczekano się nakoniec tej chwili i d. 24. lutego zeszło słońce. Byłoto hasłem do rozpoczęcia zamierzonych wycieczek, których szczęśliwe wykonanie zależało jednak tylko od przypadku. Gdyby bowiem okręt został był uniesiony z miejsca, w czasie gdy część załogi bawiła na lądzie, byliby wszyscy nieochybnie zgubieni, nie wyłączając pozostałych na okręcie, którzy w szczuplejszej liczbie nie łatwoby sobie dali radę sami bez pomocy straconych towarzyszów. Pomimo tak groźnego niebezpieczeństwa, wyruszył jednak Payer zaraz w marcu na wycieczkę, gdyż chęć poznania zagadkowego kraju przemogła wszelkie inne względy.

„Powietrze było jeszcze ostre — opisuje Payer—słońce nawet w porze południowej wznosiło się do nader małej wysokości; gdy z oboma Tyrolczykami i czterma majtkami wybrałem się na pierwszą ekskursję, gdyż niepodobna było marnować więcej czasu. Opuściwszy okręt dnia 10. marca, objechaliśmy wybrzeże zachodnie, zwiedziliśmy 2500′ wysokie przylądki Tegetthoff i Mac Clintok, oraz malowniczy fjord Nordenskiöld, którego głąb zamykała potężna ściana lodowa, stanowiąca brzeg lodowca Sonklar*).

(C. d. n.)

*) A. Petermann. *Mittheilungen* 1874 mapa 20.

Pogadanki.

VIII.

Opera lwowska albo w istocie jest wbardzo przykrem materjalnem położeniu, albo zdaje jej się to, jak się zdawało Radziwiłłowi Panie-Kochanku, że zginąłby z głodu, gdyby go sąsiadka parą korcy zboża od czasu do czasu nie ratowała. Wyczytałem onegdaj w „Dzienniku Polskim“, że nasi śpiewacy i śpiewaczki kołacą o pomoc i ratunek — do gminy lwowskiej. Jest to krok prawdziwie rozpaczliwy, zważywszy, że w uściech ludu, kołatać do gminy czyli „zejść na magistrat“ znaczy tyle, co zejść na... Nie jakoby świetna zwierzchność naszej stolicy pod względem zoologicznym ustępowała innym władzom municypalnym, broń Boże — lecz w ogóle, należy to do najmniej pożądanych rzeczy, być skazanym na jej pomoc. W szczególności zaś mało spodziewać się może roskoszy doczesnych ten, kto kołace do bram ratusza lwowskiego w imieniu sztuki. Jest to bóstwo, któremu nad Pełtwią nie stawiają ołtarzy. Mamy zresztą już Archanioła Michała bez skrzydeł, i są w mieście trzy kapele wojskowe, to i prawie dosyć. Sztuka powinna być nam wdzięczną, że kiedy śp. major Kühnl zapisał nam swoje obrazy, nie kazaliśmy z tego płótna porobić worków, ale darowaliśmy je Zakładowi Ossolińskich. Jest to niemała zasługa, zważywszy że posąg hetmana Jabłonowskiego służył tak długo do różnych użytków, nim go wydobył z kąta p. Hipolit Stupnicki. Jego szczęście, tj. posągu, nie p. Stupnickiego, że jest ze spiżu; obrazom mogło powieść się gorzej niż jemu. Mamy ich zresztą mnóstwo: stowarzyszenie strzeleckie posiada aż dwa, nie licząc tarcz, które są także bardzo pięknie malowane—stowarzyszenie młodzieży handlowej ma swój obraz, a magistrat ma także swój, mianowicie portret cesarza austrjackiego Franciszka Józefa, który wisi w audjencjonalnym pokoju p. prezydenta. Komuby tego było mało, ten u Jürgensa, u Jaskólskiego, Bogdanowicza, Kozłowskiego, Frieda, Wissmüllera, Mussila itd. może sobie nakupić foto- i litografij, ile mu się podoba. Wobec takich wysileń w kierunku rzeźby i malarstwa — o, zapomniałem jeszcze o świętym Janie, co stoi na moście naprzeciw uniwersytetu, i o drugim przed Bernardynami — wobec takich wysileń, powiadam, trudno bardzo, aby gmina mogła zdobyć się na ofiarę dla opery. Wprawdzie nalega o to kronikarz lwowski „Dziennika Polskiego“, ale to zapewne tylko dlatego, iż wie, że nic z tego nie będzie; dobrze mu więc nagromadzić sobie materjału do wycieczek przeciw radzie miejskiej, na wypadek, gdy mu nie stanie Ofenheima, i innych bohaterów założycielstwa.

* *

W ogóle ten pan kronikarz zdaje się być w niepospolicie złym humorze. Radziłbym mu, ażeby dla poprawienia sobie reputacji robił tak, jak zrobiła temi dniami „Gazeta Lwowska“, której także brakło humoru, na te mrozy. W Rzymie zamordowano redaktora p. Sonzogno, radykalistę nie pobierającego subwencji z Berlina, i bardzo nielubionego w Watykanie, w Kwirynale i w zamku Hohencollerów nad Spreą. Gdy zginął, wiedeńska „N. fr. Presse“ pospieszyła z wielkiem zadowoleniem i z wynikającym ztąd humorem opisać komiczną śmierć tego „Rabagasa“, zasztyletowanego przy biurku w redakcji dziennika „La

Capitale.“ Chachacha! La Ca-pi-ta-le! Ka-pi-tal-nie! Przyszedł bandyta i zakłuł go z tyłu, jak wieprza! Chachacha! C. k. organ urzędowy tak się ubawił tem zdarzeniem, że przetłumaczył artykuł „N. Pressy“ — chachacha! — i umieścił go jako swój. Chachacha! Tym sposobem podwójny cel jest osiągnięty: najpierw czytelnicy „Gazety Lwowskiej“ uwierzą, że posiada ona swój własny, ka-pi-tal-ny humor, co niezawodnie podniesie ją w opinji publicznej prawie do wysokości „Szczutka“, a powtóre, wiadomem będzie wszem wobec i każdemu z osobna, że jeśli bandyta zakłuje radykalistę, który nie spowiadał się, nie pościł, i nie brał subwencji z Berlina, to warto śmiać się z tego do rozpuku. Jest tedy materjalna korzyść, i moralna w tym niewinnym plagjacie, i przykład „Gazety Lwowskiej“ jest godnym naśladowania dla wszystkich pp. kronikarzy, którym w sobotę z tej lub owej przyczyny braknie humoru. Radziłbym także wyjechać czasem za miasto, np. do Panieńskiego stawu, gdzie zawsze ochoczo i wesoło, i gdzie można zaczerpnąć nieco werwy kronikarskiej, i nauczyć się poruszania na śliskim gruncie od łyżwiarek i łyżwiarzy. Ale p. kronikarz „Dziennika Polskiego“ zdaje się być nocnym ptaszkiem, bo wiecznie narzeka to na brak oświetlenia, to na drogość gazu itd. Piękna mi kwalifikacja na zbieracza nowin brukowych! Kronikarz, panie dobrodzieju, powinien skoro świt być na nogach, obiedz całe miasto i dowiedzieć się o wszystkiem, co się stało — nie zaś włóczyć się wieczorami i rachować, ile magistrat zapalił świateł, i ile centów każde z nich kosztuje na godzinę. Tak, mój panie!

* * *

Dla czego to ja, np. nietylko wiem, co się dzieje we Lwowie, ale mam jeszcze czas zaglądnąć i do innych części świata, i wiedzieć o wszystkiem? Teraz właśnie powziąłem wiadomość o niepospolitem zdarzeniu, które zaszło w Lengbeng-reng-kong-fu, stolicy prowincji Gang-ga-lang-tsi w państwie Niebieskim. Był sobie kapłan Buddhy, nie tego prostego, ale innego, zupełnie *extra-fein*, przyrządzonego umyślnie dla żółtych i czerwonych mandarynów o dziewięciu pawich piórach i o bajecznych *harcopach*. Kapłan ten zwał się Hong-Ling-Czing i w chwilach wolnych od pracy zajmował się wydawaniem małego dziennika, w którym tłumaczył pospólstwu, o ile jego *extra*-Buddha wyższym jest od *ordynarnego* Buddhy, dawniej wynalezionego. Tymczasem niejaki Ping-Czing, smarownik papieru i nauczyciel pierwszych ośmiuset głosek chińskiego abecadła, ośmielił się wydawać inny dziennik, nawet na piękniejszym jedwabnym papierze i lepszym tuszem drukowany, i w dzienniku tym wychwalał pracowitemu ludowi prowincji Gang-ga-lang-tsi wielkość i dobroć starego Buddhy, a o jego modnym falsyfikacie wcale nie wspominał. To oburzyło kapłana Hong-Ling-Czinga, nie tyle z powodu despektu wyrządzonego jego *extra-fein* Buddhzie, ile z powodu uszczerbku w przedpłacicielach, uczynionego jego organowi. Poszedł tedy do naczelnego mandaryna prowincji, którego dzieci uczył religji extra-Buddhy, pokłonił się trzy razy smokowi na jego bramie i na brzuchu przyczołgał się do mandaryna, skarżąc mu się swojej krzywdy. A był to mandaryn wielki, miał mnóstwo żółtych i czerwonych guzików, i dziewięć pawich piór, i jeden z największych *harcopfów* w całem państwie chińskiem. W istocie, *harcopf* ten był osobliwością, zwłaszcza gdy od czasu, jak czerwoni i czarni barbarzyńcy ośmielili się pobić wojska Niebieskie, i potłukli tyle porcelany, a tyle jej z sobą zabrali, Chińczykom nie rosną już czuby tak jak dawniej. Ale ten mandaryn miał jeszcze *harcopf* z dawniejszych lepszych czasów, i powtarzam, że był to *harcopf* ogromny. Otóż usłyszawszy żal kapłana, mandaryn najeżył tę ozdobę wszelkiej mandaryńskiej głowy do góry, i krzyknął piorunującym głosem: trang-sfeng-ring! Co miało znaczyć, że smarownik papieru Ping-Czing ma natychmiast, pod karą srogiej bastonady, udać się w najodleglejszy zakątek prowincji Gang-ga-lang-tsi, i tam uczyć już tylko 400 głosek alfabetu, i chwalić *extra fein* Buddhę, albo też tak długo wstrzymać się od jedzenia szczurów i myszek białych, póki nie umrze z głodu. Ponieważ w zakątku owym nie ma rzemieślników którzyby umieli wyrzynać głoski na drzewie i drukować je później, więc Ping-Czing tem samem musiałby zaniechać dalszego wydawnictwa swojego dziennika. Pisze mi atoli Ping-Czing, że jego Buddha jest większy od największego mandaryna, i że pokłada on w nim wszelką nadzieję, iż go nie opuści. Powiada on dosłownie: mcu-su-fong-cu, to znaczy po polsku: Starszy Pan Bóg niż pan Rymsza. I tak ponoś będzie w istocie.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA
Dr. KAROLA LIBELTA.
(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań; 1875.)

Socjaliści i komuniści nie tolerowani przez rząd, ni przez duchowieństwo, zorganizowali się w związki tajne, które prowadziły do zaburzeń i powstania. Pokonani ulegli prześladowaniu. Lamennais chciał ich przeprowadzić pod skrzydła katolicyzmu. Nie zrozumiano tego w Rzymie i papież potępił zabiegi księdza katolickiego. Podobnie było zasługą Cabeta, że położył koniec konspiracjom i wytrącił sztylet zabójczy, z rąk komunistów, głosząc zasadę: „że nie trzeba przymuszać ludzi do przespołecznienia świata.“ Ztąd poszło, że rząd Ludwika Filipa dawał tym komunistom pokój i swobody. Gdy Cabet udał się do Ameryki, by tam zorganizować swoją Ikarję, zastępował go w Paryżu nasz Ludwik Królikowski jeden z najczynniejszych krzewicieli ikaryjskiego komunizmu.

Trentowski, zamykając rzecz o przespołeczniaczach francuskich (str. 98—105) zwraca uwagę na kataklizm społeczny, zbliżający się do nas olbrzymiemi krokami, który teorje socjalne zagrodzić usiłują. Po jednej stronie zbytek wyrafinowany, po drugiej nędza niesłychana; przeludnienie i drogość zwiększająca się z dnia na dzień: małżeństwa coraz rzadsze a bezżenność, a ztąd i liczba nieprawych dzieci, coraz większa; wędrówki nie ustające do Ameryki, a mimo to proletarjat rozpościerający się coraz dalej; obdłużenie państw wzrastające olbrzymio od roku do roku, a obok giełda rozbijająca majątki drobnych posiedzicieli; rozwiązywanie się rodziny i upadek moralny społeczeństwa; kierunek materjalny czasu wyradzający nihilistów i ateistów; nareszcie chęć używania i panoszenia się spekulacjami finansowemi, i ztąd bankructwa i zubożenia — oto skazówki nieuchronnego kataklizmu, który przyspiesza jeszcze tegoczesny konflikt państwa i kościoła, religji i rządu. „Przyjdzie chwila, gdzie w całej Europie zagrają hajdamackie noże, zakipią mordy straszliwe i tak szerokie, aż przestanie być na ziemi ciasno i duszno. Miecz Damoklesa wisi nad głową społeczeństwa naszego, a zagląda mu w oczy straszliwa Meduza. Popatrzywszy na nie nieco czuje się w kościach przerażenie“ (str. 105.)

Na przejściu do uspołecznień germańskich mamy O w e n a i C h a r t y s t ó w w Anglji, w Szwajcarji W e i t l i n g a i zakłady ukształcenia rzemieślniczków. Jest to rodzaj filantropji empirycznej. Już to charakter germańskiego ducha, bo zaczyna przespołecznienie świata do s z k o ł y. Robert O w e n miasto dóbr osobistych zaprowadza ogólną, wspólną własność, a miasto rodziny ustanawia gminy. W Ameryce zakładał gminy filantropijne, w Anglji budował bazary dla biednych rzemieślników. W ogóle uczynił więcej dobrego w praktyce, niżeli w teorji. C h a r t y ś c i, tak nazwani od karty praw ludowych, której się nadaremnie od parlamentu domagali, w wielokrotnych zaburzeniach i powstaniach zużyli swoje siły. Była to ekonomja narodowa, oparta na komunizmie i socjalizmie. W e i t l i n g krawczyk z Magdeburga, otarłszy się w Paryżu, znosi w pismach swoich własność osobistą i pieniądze. Ojczyznę, naród, patrjotyzm do uprzedzeń policza. Nad wszystko stawia człowieczeństwo. Jeden drugiemu mówi t y, a do trzeźwości każdy zobowiązany. Na tych zasadach pozakładał szkoły rzemieślnicze w Szwajcarji; a przez tajemne związki werbował sobie prozelitów. Związki robotnicze po Niemczech, stowarzyszenia śpiewaków i turnerów są dalszymi następstwami tej propagandy.

Ruch socjalistyczny germański wyszedł z uczniów Hegla i zowie się dla tego N o w o-H e g e l i a n i z m e m. Wedle F e u e r b a c h a nie duch bezwzględny jest Bogiem, który siebie dopiero w duchu ludzkim pojmuje; ale jest nim rzeczywiście duch rodu ludzkiego. Duch bezwzględny Hegla, to absolut fantazji. Skończyło się już z nim raz na zawsze. Filozofja prawdziwa to a n t r o p o l o g j a. — Wedle S t i r n e r a nie ma rodzaju ludzkiego, lecz są nieskończenie mnodzy ludzie. Rodzaj ludzki to abstrakcja. Więc nie o n, ale j a jestem absolut, Bóg. Człowiek tez czcił zawsze samego siebie. E g o i z m to mądrość najprzedniejsza. Wyzyskiwali ją dotąd książęta, panowie i księża. Niechaj więc wszyscy używają. Miłość bliźniego głupstwem. Umykaj się z lepszego miejsca, abym ja je zajął. Grün nareszcie naucza, że samo tylko n i c e s t w o jest prawdą (nihilizm). Wszystko, co wiara i umiejętność obwieszcza, jest kłamstwem i mrzonką. Precz więc z marzeniem i marą. Co użyjesz, to twoje. Roskosz życia, — acz i ona tylko marą — to jedyne szczęście i zbawienie.

To nauka społeczna germańska. Wtorują jej S t r a u s s, negujący historyczną osobę Jezusa, i odnoszący całą ewangelją do mitologji, B r u n o B a u e r, autor krytyki ewangelji, E d g a r B a u e r, pisarz ksiąg religji czasu naszego, D r. R u g e, żądający zamienienia świątyń pańskich na uczelnie ludowe, J u l i u s z F r o e b e l ekonomista polityczny przeprowadzający głównie emancypację kobiet.

Na przejściu do socjalistyki słowiańskiej stawia Trentowski w o l n o-m u l a r s t w o. Jest

*

to siła zbiorowa rozrzucona po wszystkich krajach, ku wzajemnej dla siebie pomocy. Policza ono do celów swoich rozszerzenie światła pomiędzy rzeszami ludowymi, i podnoszenie moralności, zapomnianej dziś tak często. Dobroczynność jest obowiązkiem każdego wolno-mularza. Masonerja nie burzy i rozwala, ale buduje stropy społeczeńskiego gmachu. Ztąd jej nazwa i ztąd jej symbola. Bractwo wszech kościołów, to jedyne bractwo Boga światłości i miłości. Wiążą wolnomularze rodzinę z narodem, a naród z ludzkością. Braterstwo ludów, za czem walczą wszystkie wielkie rewolucje, istnieje oddawna wśród nich. U nich jeden Bóg i jedna ludzkość, jeden Kościół i jedna rodzina wielka. Czasu swego będzie tak na całej ziemi. Każdy starać się ma o to, aby był sobie samemu zbawicielem, aby nie był ślepowiercą Chrystusowym, ale jako On był nowym Chrystusem. Deizm, humanistyczność i messjanizm to trzy wielkie światła lóż massońskich. Trzy są stopnie wolnomularstwa: u c z e ń pracuje około siebie, aby poznał siebie samego; czeladnik ma uzacnić rodzinę i drużynę własną; mistrz ma pracować dla narodu, a uczynić coś dla ludzkości. (C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Ciąg dalszy*).

(*Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.*)

Z wyciągów dotychczasowych czytelnicy mają już wyobrażenie o wartości spostrzeżeń, poczynionych przez Br. Hübnera nad Japonją i Ameryką. Teraz uczynimy to samo z trzecią i ostatnią częścią dzieła, poświęconę Chinom. Wybieramy Pekin, stolicę wielkiego państwa.

„Miasto tego nazwiska, mówi autor, zbudowane przed erą chrześciańską, zdobyte przez Dżengiz-hana w 1215 r. zamienione zostało w stolicę cesarstwa niebieskiego na początku piętnastego wieku. Z tej epoki dopiero pochodzą mury otaczające Pekin i najdawniejsze jego budynki. Pekin jest więc grodem nowożytnym. Gmachy jego przypominają nasze obronne zamki z czasów feudalnych, z tą atoli różnicą, że rozmiary pierwszych są olbrzymie w porównaniu z ówczesnemi budowlami europejskiemi. Pekin ma około dwadzieścia mil angielskich obwodu, a pomimo tak rozległej przestrzeni posiada tylko szesnaście bram. Stolica składa się właściwie z dwóch miast, tatarskiego i chińskiego, wkształcie dwóch równoległoboków. Odrębne ich cechy uwydatniały się jeszcze do niedawna, z powodu rozdziału surowo przestrzeganego między zwyciężonymi i zwycięzcami, pomiędzy rzeczywistymi Chińczykami a ich najeźdzcami, przybyłymi z po za gór Mongolji. Obecnie czasy się zmieniły i widać już krajowców — zamieszkałych w części tatarskiej, — jakkolwiek zawiść dwóch ras jeszcze się zupełnie nie zatarła. W środku osady tatarskiej wznosi się pałac cesarski, czyli raczej miasto carskie, tak zwane „zabronione“ okolone murem, nieprzystępne jak to sama nazwa okazuje, dla zwykłych śmiertelników. — Ulice Pekinu przecinają się pod kątem prostym, zarówno szerokie jak i wąskie. Domy bogaczów są zasłonięte ścianami przed ciekawością przechodniów; domy zaś uboższych, widzialne, są to po prostu nędznej powierzchowności błotniste lepianki, bez planu i żadnych ozdób architektonicznych. W kwartale handlowym ciągną się sznurem sklepy, pełne wyrobów krajowych, oprócz niektórych artykułów europejskich. Apteki, składy z herbatą i dystrybucje tytuniu odznaczają się przepychem lakierów i złoceń na froncie, tudzież ogromnemi godłami zawieszonemi na słupach u wnijścia. — Nie wygodnie używać tu przechadzki i przejażdżki w Pekinie, gdyż nie ma się tam czasu zwracania uwagi na roztaczające się przedmioty, tak dalece człowiek musi być zajęty sobą, aby nie uległ szwankowi z powodu jam wydrążonych deszczem na groblach, tudzież głębokich kolei od wózków i mnóstwa desek zarzuconych tam i owdzie nad czarnemi i cuchnącemi kałużami. Cokolwiek bądź, choć wszystko w Pekinie nie należy do piękna, jest nowem i zajmującem. Pasma dwugarbnych wielbłądów snują się po ulicach, wiedzione przez Mongołów o szerokich policzkach, spłaszczonych nosach, głupowatych śmiechach, z wyrazem poczciwości i szczerości. Trzeba się mieć na ostrożnści przed niezliczoną liczbą dorożek, to jest wózków z okrągłym namiotem na wierzchu, z którego wychodzi rodzaj daszku, chroniącego od słoty woźnicę i konie. Lektyk i przenośnych krzeseł używają tylko mandarynowie pewnej rangi. Otóż jedno z nich! Czterech ludzi je dźwiga, idąc szybko; pół tuzina sług zdąża za nimi. Liberja na nich wytarta i brudna, jak samo krzesło. Za to mandaryn, którego niosą, ma twarz i ręce umyte, bieliznę świeżą i suknie czyste; miarkując z pozoru, należy do wysokiej biurokracji. Trzyma na nosie aż dwie pary ogromnych okularów, będąc zatopiony w czytaniu jakiegoś zwitka. Dowiedziałem się, że jest radzcą stanu i pospiesza na posiedzenie ze sprawozdaniem z czynności swoich. Tłum ludu zmusza nas przysunąć się do mandaryna. Ten mierzy nas pogardliwem spojrzeniem i nuż znowu przeglądać papiery!

Nie podobna się przecisnąć. Zejdźmy na stronę w samotną uliczkę, okrążającą mury pałacu z przyległościami cesarza niebieskiego! Nowa trudność do przebycia: nadciąga weselisko mieszczańskie i zastępuje drogę. Narzeczeni, bliscy i dalsi ich krewni, przyjaciele i zaproszeni goście paradują w dorożkach. Przypomniałem sobie Paryż, gdzie nowożeńcy z gronem biesiadników robią zwykle przejażdżkę z kościoła do lasku bulońskiego. Zaledwieśmy się wydostali na jedną z głównych ulic poprzecznych północnej części miasta, aliści widok poważny i uroczysty pochodu pogrzebowego ukazał się oczom naszym. Sądząc ze wspaniałości, naród oddawał ostatnią usługę co najmniej ministrowi, jeśli nie członkowi rodziny carskiej. Aż tu powiadają, że zmarły był tylko małym urzędniczkiem czwartej klasy. W Chinach cześć świadczona nieboszczykom, przywiązanie familijne, będące przeważną zaletą Chińczyka, tłumaczą wytworną okazałość pogrzebów, chociaż wystawy takie stają się niekiedy przyczyną zubożenia pozostałych przy życiu krewnych. Ciało zmarłego niesiono pod obszernym ponsowym baldachimem, suto haftowanym i ozdobnym frendzlą złotą. Przed trumną odbywała podróż do wieczności, w próżnym fotelu z białem obiciem, dusza nieboszczyka. Rodzina jego jechała z tyłu w najętych powozach. Wszyscy nosili żałobę. Woźnice nawet mieli na kapeluszach białe oznaki. Wprawdzie krewni i przyjaciele przedstawiali najskromniejszą część orszaku, ale za to zmarły przechodził na tamten świat pompatycznie, jak na wielkiego pana przystało. Las bogatych chorągwi, lanc i różnobarwnych parasolów otaczał baldachim. Niosący je postępowali parami z obu stron ulicy. Na ich jedwabnych parasolach widać było rozmaite godła, wyszyte napisy, dziwaczne malowidła, smoków i innych potworów; a indywidua przebrane za błaznów, kuso i opięto, rozstawione w pewnych od siebie odległościach, wybijały na tamburynach marsza, do którego stosował się żałobny pochód. Oprócz tego kilka band muzykantów przygrywało naprzemian, wydobywając chropowate i niestrojne dźwięki ze swych instrumentów. Uderzającą stanowiła sprzeczność z ową pompą cmentarną obojętność widzów: nie ujrzałem żadnego coby się zatrzymał: rzucił tylko na nią okiem z ukosa i poszedł dalej; tak dalece w Pekinie publiczność jest przesyconą widowiskami tego rodzaju, powtarzającemi się codziennie, odnoszącemi się tylko do osób w żałobie, a najbardziej do nieboszczyka.

Zwidziłem największe świątynie Chin a wszędzie uderzyło mię zaniedbanie takowych i brak w nich wyznawców wiary. Rezydencje urzędowe wysokich mandarynów w podobnem znajdują się opuszczeniu jak i kościoły, gdyż będąc oni w obowiązku ponoszenia kosztów porządnego utrzymania swych rezydencyj, nie czynią tego ze względu, iż rzadko który z nich piastuje swój urząd dłużej nad trzy lata. Ale jak wytłumaczyć biedną powierzchowność ich pisarzy i służby, nędzny stan dróg publicznych i ulic miejskich, tudzież kanałów i mostów, zbudowanych w ostatniem stuleciu z płyt marmurowych, a już rozpadających się w gruzy? Jak wreszcie zdać sobie rachunek z ogólnego rozstroju i upadku, nie licującego ze znaną pracowitością ludu chińskiego, silnego, czynnego, pojętnego, rozsypującego się po Ameryce i Australji, a wytrzymującego wszędzie konkurencję — rozumie się, do pewnych granic, z narodami najwięcej postępowemi pod względem materjalnym? Pytania te, równie jak i wiele innych, zadałem ludziom, których stanowisko, doświadczenie nabyte długim pobytem w państwie, znajomość języka, osób i stosunków miejscowych, dawały mi rękojmię ich trafnej odpowiedzi. P. Williams, autor i misjonarz amerykański, zamieszkały w Chinach od lat trzydziestu pięciu; jenerał Viangerli, ambasador rosyjski; p. Wade, pierwszy tłumacz legacji z dawien dawna, obecnie poseł angielski; p. Brown, jego sekretarz; p. Low, pełnomocnik Stanów Zjednoczonych; br. de Richthowen, geolog niemiecki, który spodróżował wiele prowincyj cesarstwa; ksiądz de la Place, wikary apostolski w Pekinie; p. Lenzi tłumacz poselstwa rossyjskiego; wszyscy ci mężowie z godną wdzięczności uprzejmością trudzili się rozwiązywaniem rzucanych im przezemnie kwestyj, objaśnianiem wątpliwości i prostowaniem mych błędnych poglądów. Na tych, nader pouczających rozmowach, spędzaliśmy ranki i długie jesienne wieczory.

— Upadek taki — rzekłem ostatecznie — jestże powierzchownym tylko, czy rzeczywistym? Czy naród, czy sama tylko dynastja ulega rozkładowi?

— Jestto zagadnienie — odpowiedziano — bardzo złożone a trudne do rozwiązania. Chiny są krajem sprzeczności i przeważnie konserwatywnym. Pojęcia, obyczaje, ubiory, są tu dzisiaj takiemi, z wyjątkiem drobnych zmian, jakiemi były przed paru tysiącami lat. Wszelakoż nigdzie na kuli ziemskiej nie wznoszą budynków mniej trwałych jak w Chinach. Oprócz pagody.... (zapomniałem jej nazwę) w prowincji Kiang-si, która początkiem swym sięga dziesiątego stulecia, niema w całem państwie ani jednego gmachu dawniejszego nad 200 lub 250 lat. Chiny są narodem patrjarchalnym, a jednak, pominąwszy ośm lub dziewięć rodzin książęcych, nie mają szlachty dziedzicznej. Przeciwnie, szlachta kreowana przez cesarza schodzi o stopień niżej przy każdej generacji, dopóki nie zniknie. I tak syn markiza, czyli raczej człowieka odpowiadającego stopniem markizowi, zostaje hrabią, a tego syn baronem, wnuk zaś nie ma już żadnego tytułu. Książęta krwi stanowią wyjątek od reguły i doznają wielostronnych przywilejów; ministrowie nawet w obec nich zajmują podrzędne stanowisko; ale za to wpływ na sprawy stanu jest wzbroniony książętom.

Każdemu otwartą jest droga dojścia do zaszczytów, zarówno synowi tragarza jak i księcia, byleby złożył egzamen z nauk elementarnych w mieście obwodowem, z nauk uniwersyteckich w stolicy swojej prowincji i nadto otrzymał stopień doktora na konkursie w Pekinie. Doktorowi wolno współubiegać się n najwyższą posadę, wedle drabiny hierarchji krajowej. Jako uczony, jest on cząstką korporacji potężnej; lecz aby osobiście wziąć udział w rządzie, potrzebuje wprzód praktykować w zawodzie administracyjnym, gdzie otrzymuje urząd w stosunku do otrzymanych stopni akademickich. Możnaby ztąd wnieść, i słusznie, iż Chiny są także krajem czysto biurokratycznym, nie ma atoli drugiego państwa, gdzieby tak jak tu ograniczoną była liczba urzędników. W tem niezmiernem cesarstwie liczą do dwunastu tysięcy mandarynów, czyli w ogóle urzędników płatnych ze skarbu publicznego. Za to autonomja komunalna jest tu jak nigdzie rozwinięta.

(Dok. nastąpi.)

Listy z Krakowa.

III.

(Dokończenie.).

Jak Akademja nasza na F. H. Duchińskiego patrzy i jakie względem niego zajęła stanowisko, dowodzi najlepiej półurzędowe a przynajmniej inspirowane sprawozdanie z jej ruchu ogłoszone w najświeższym numerze „Przeglądu krytycznego“. Powiedziano tam, że „wydział historyczno-filozoficzny w obszernej dyskusji około *znanych* (?) poglądów p. Duchińskiego przez samego ich autora bronionych, zaznaczył w sposób pocieszający (sic) stanowisko akademji umiejętności. Pan Duchiński *narobiwszy zagra-*

nicą swemi teorjami tak wiele hałasu, spotkał się właśnie w akademji umiejętności w Krakowie z *ogólnym głosem* (sic) który im w imię historycznej prawdy zarzucił przesadę, a w imię nauki brak prawdziwej ścisłości. Dyskusja ta, jak w ogóle wszelkie inne dyskusje w łonie akademji, byłyby zresztą i więcej ożywione i *gruntowniejsze* (sic) gdyby nie ta okoliczność, iż na ogólnych posiedzeniach wydziałowych *zamało zasiada specjalistów* (sic) w kierunku, w jakim odczytana rozprawa jest napisaną, którzyby przedewszystkiem w dyskusji skuteczny udział wziąć mogli". Te kilka wierszy dają pole do wielu komentarzy, ale niestety smutnych. Twierdzić, że teorje p. Duchińskiego należą do „znanych", jest to oczywiście ich nie znać, bo szczególniej u nas bardzo mało kto zna je dokładnie, tak samo twierdzić, że Duchiński swemi teorjami narobił hałasu zagranicą jest to nie znać Duchińskiego. Człowiek to pracy cichej, o którym nie wiedzianoby zupełnie, gdyby myśli przez niego rzucane nie zwracały uwagi uczonych, którzy im rozgłos dają walcząc o nie lub biorąc za podstawę i punkt wyjścia do nowych w nauce poglądów. Wyznawać w końcu, że przeciwko Duchińskiemu oświadczył się w akademji „głos ogólny" pod nieobecność „specjalistów," których „zamało" było na posiedzeniu, i których dyskusja była z tego powodu „zamało gruntowną i skuteczną", jest to być szczerym, ale niekoniecznie dyskretnym.

Nie, panowie, — jeżeli mamy być szczerymi i niedyskretnymi, bądźmy do końca. Przyznajmy się przed sobą i przed światem, że jedni z nas są sympatycznie, drudzy niechętnie względem teorji Duchińskiego usposobieni, ale to tylko tak, jak się bywa usposobionym względem człowieka, którego się tylko z widzenia, z fizjognomji poznało. Zamiast twierdzić, że mamy „zamało" specjalistów w tym kierunku, powiedzmy raczej, że nie mamy wcale takich, którzyby kierunek wskazany przez Duchińskiego gruntownie i ze ścisłością naukową badali, bo i zkądbyśmy ich mieć mogli, kiedy ten kierunek, *cobądź kiedyś o nim nauka wyrzecze*, jest teraz jeszcze w stosunku do dzisiejszej nauki nowatorstwem i rewolucją. Takie nowości nie przez akademje wchodzą do nauki, a przynajmniej jeżeli przez akademje, to nie tak prędko. W półwieku po śmierci Kopernika stoi u zenitu akademickiej sławy Tycho-Brahe, wierzący jeszcze w nieruchomości ziemi i umieszczenie jej w środkowym punkcie wszechświata. Gdy nasz astronom najniedokładniejszemi i najprostszemi narzędziami poczynił już na niebie swoje odkrycia, tamtego na podstawie świadectw akademickich królowie obdarzają wyspami i budują im na nich obserwatorja wspaniałe, aby dalej robili spostrzeżenia, mające im służyć na poparcie błędów, których są apostołami, i na obronę ich przeciwko dawno już znalezionej lecz klątwą obrzuconej prawdzie. Lamarck ogłasza hypotezę nową, ale nie akademje uznają pierwsze, że ta hypoteza, czy jest prawdą czy błędem jest zawsze tak genjalną, że ją dokładnie zbadać trzeba. Po Lamarcku musi ją podnieść Darwin, od Darwina musi ją wziąć Haeckel i przystępniej oraz systematycznej światu wyłożyć, a wówczas dopiero uczeni po za akademjami stojący zaczną się nią zajmować i badać ją objektywnie, akademickie zaś powagi ciągle jeszcze dotykać się jej będą przez rękawiczki uprzedzenia, że tam koniecznie błąd być musi. Takich przykładów jest tysiące, powiem więcej, historja wszystkich wielkich kroków poczynionych naprzód w nauce, historja wszystkich zwrotów i przewrotów naukowych, nie jest niczem innem tylko takich przykładów szeregiem, podczas gdy maluczkie i bagatelne odkrycia, sprostowania drobnych szczegółków, uzupełnienia zaledwie dostrzegalnych braków w istniejących teorjach, zawsze znajdują otwarte bramy wszelkich akademji i przyjmowane są w nich z hyperbolicznym prawdziwie entuzjazmem.

Pozostaje teraz do rozważenia jeszcze jeden fakt, dlaczego tego Hoene-Wrońskiego historji, który się nazywa F. H. Duchiński, i tego Duchińskiego matematyki i filozofji, który się nazywał Hoene-Wroński, „głos ogólny uczonych, pomiędzy którymi zamało jest specjalistów", daleko wyżej stawia za granicą niż u nas. Odpowiedź na to prosta: zagranicą znają ich bliżej, bo tam żyli i pracowali. Dla nas kiedyś zapewne jaki Działyński będzie musiał zakupić i wydać rękopisma Duchińskiego, tak jak właśnie rękopisma Wrońskiego zakupił i ogłaszać zamierza. Zagranicą przytem, że tylko o Duchińskim będziemy mówili, byli już uczeni, którzy na nowe tory pchnąć usiłowali takie nauki jak geografja, etnografja, antropologja i na nich chcieli oprzeć w inny sposób pojętą i inaczej przedstawioną historjozofję. U nas te odnowione i zreformowane nauki podstawowe i pomocnicze są jeszcze nowością, uczymy się ich od bardzo niedawna, nie przetrawiliśmy ich jeszcze, nic więc dziwnego że nie mamy wielkiego pociągu do badania systemów, które się na nich głównie opierają, albo w ich kierunku pragną iść dalej.

Rozpisałem się o tym przedmiocie obszerniej może niż ramy korespondencji na to pozwalają, niech mi to jednak czytelnicy wybaczą. Półurzędowe wprawdzie tylko, ale dość wyraźne potępienie teorji Duchińskiego przez naszą akademję, zanadto jest wodą na młyn naszych serdecznych nieprzyjaciół z północy, żeby się cieszyć z niego było można, dlatego ubolewać tylko należy, że tak pospiesznie i nierozważnie, „głosem ogólnym, pod nieobecność specjalistów", i to w formie arbitralnego wyroku a nie gruntownego i i szczegółowego rozbioru nastąpiło. Teorje Duchińskiego mogą być błędne, *nie głoszę się tutaj ani ich kompetentnym znawcą, ani bezwarunkowym wyznawcą ani sędzią*, choćby nawet jednak były błędnemi, zbyt wielkie sobie znaczenie wyrobiły w nauce, zbyt wiele się niemi zajmowano, ażeby miało być pocieszającem zjawiskiem, że akademja *nasza* bez gruntowniejszego ich zbadania zajęła względem nich stanowisko nieprzychylne. Objektywność przyznajmniej byłaby tu przyzwoitszą, uprzedzeń zaś *a priori* powziętych „pocieszającemi" bynajmniej nazwać nie można. Byłyby one raczej „pocieszne", gdyby nie były takie smutne.

Oprócz odczytów w akademji, Duchiński miał o swojej teorji odczyt w muzeum przemysłowem. Było to streszczenie rzeczy na posiedzeniach wydziału historyczno-filozoficznego odczytanej. Rzecz naturalna, że jeżeli w akademji, jak sama wyznaje, zamało było specjalistów, jeszcze ich mniej być musiało, a raczej nie było ich wcale między słuchaczkami i słuchaczami muzeum. Dodajmy do tego wykład niepopularny, a przekonamy się że „głos ogólny, w którym zamało jest specjalistów", a który względem „znanych" teorji Duchińskiego zajął tak „pocieszające" stanowisko aprjorystycznej niechęci, musiał niezmiernie zyskać na potędze.

Wł. Sabowski.

Kronika paryska.

IV.

Paryż d. 10. Lutego 1875.

Do łatwych tryumfów od lat tylu przyzwyczajonemu Panu Sardou, po raz pierwszy na deskach teatralnych powija się noga. Długo oczekiwany, silnem biciem w bębny reklamy ogłoszony, historyczny dramat jego „Nienawiść" (La haine) po 27 przedstawieniach (jak na Paryż nader mało) nie powracając wyłożonych nań kosztów, do archiwów teatru „Gaité" na wieczysty (prawdopodobnie) rusza odpoczynek. Oto najdonioślejszy fakt, jaki rozpoczęty sezon zimowy na kronikarskich tutejszych zapisuje tablicach.

W obliczu tego tak niespodziewanego i dla kieszeni dyrektorskiej a autorskiej bolesnego rezultatu; opinja publiczna na dwa się rozpada obozy. Jednym niepowodzenie sztuki za pole do długich i szerokich o zepsutym smaku Paryżan służy deklamacyj, drugim za oręż przeciwko zbyt już wybujałej i niejedną zawiść kolącej w oczy, autorskiej Sardou wziętości.

„Dramat wspaniały!" krzyczą przyjaciele „a że upadł to dla tego, iż podniebienie Paryżan, dziwolągów dramatycznych od tak dawna odrętwione połykaniem, na lepszym, uczciwszej, zdrowszej kuchni, nie mogło się już poznać smaku".

„Dramat nędzny!" syczą wrogów zastępy i opinja publiczna długo tolerowanemu fabrykantowi burd teatralnych, raz nareszcie, zasłużoną daje odprawę."

Co najzabawniejsza to to, iż jak jedni tak drudzy mają rację, nie absolutną naturalnie a względną, nie taką coby jak słońce biła w oczy, lecz taką, co się bez zbytnich trudności, zestawieniem kilku faktów, udowodnić pozwoli.

Postaramy się to ostatnie podjąć zadanie.

Że dwadzieścia lat cesarstwa, iż przeprowadzona w ciągu ich systematyczna demoralizacja tłumów ze sceny, iż całe serje sztuk jak: „La belle Hélène" „Le petit Faust" „La biche au bois" itd. itd. nie były dobrą estetycznego smaku szkołą, na to się sądzę zgodzi każdy, to dalszych nie potrzebuje dowodów, o tem jako o rzeczy często już traktowanej i mówić byłoby zbytecznem.

Lecz z drugiej strony, prawdziwe artystyczne piękno, lub coś przynajmniej, co w bliskim, pokrewnym zostaje z niem stosunku, tyle ma w sobie magnetycznej niewysłowionej, do określenia trudnej atrakcji, iż nawet na najsilniej zaszpuntowanym umyśle pewne zrobić wrażenie, iż nawet w najbardziej wystygłej piersi, pewnem się odezwać musi echem.

Widziałem, wierzcie, zaciętych dandysów zakorzeniałych „gandenów (gandins nie znam polskiego wyrażenia), ślepych wyznawców Offenbacha i Hervé'go, mistrzów tych karmnych mleczywem, którzy gwałtem czy przypadkiem, mimowolnie w każdym razie, na „Ernani'ego" lub „Marion Delorme" w teatrze francuzkim zaciągnięci przedstawienia, pod wpływem scen niektórych tryskających życiem, fantazją, zapałem bledli, połowę ze swego baraniego tracili kontenansu i od czasu do czasu, bezwiędnie może, wewnętrzne wzruszenie swe, głuchym, „Tiens! C'est beau!" zdradzali wykrzykiem. Jakby tam potem, raz na ulicy, raz z mimowolnego ochłonięci zapału, nie szydzili z tych kilku po ludzku przeżytych chwilek; jakim by deszczem cynicznych sarkazmów nie spłukiwali z twarzy tego żywiej krążącą krwią wyciśniętego rumieńca za późno! Świadectwo i jakie?! już wydane: iż co piękne to piękne, to uznanie wszędzie znaleźć musi, to uznanie te gwałtem i z najmniej chętnej wyrywa duszy.

Wyżej wymienione Hugo'nowskie dramata, przeważna większość sztuk Dumas'a, niektóre serjo Augier'a komedje, co więcej powiem, przed sześciu laty w „Porte St. Martin" przedstawiona, udatna tegoż samego Pana Sardou „Patrie" tragedja, pomimo zepsutego smaku Paryżan bardzo ładne i czasem nawet więcej niż ładne znalazły powodzenie. Niedawno, parę miesięcy temu, szumny melodramat Pana d'Ennery „Les deux orphelines" po dwiestu prawie przedstawieniach jeszcze widzów ściągał tłumy, obecnie „Rose Michel" quasi historyczna pana Ernesta Blum sztuka w „Ambigu Comique" gromy wywołuje oklasków. Dla czegoż więc „Nienawiść" tym samym pochlubić się nie mogła rezultatem? Dla czegoż więc zepsuty smak Paryżan (któremu wcale zaprzeczać nie myślimy) jednej tylko „Nienawiści" zupełnym się postawił sztorcem, jednej tylko „Nienawiści" dłużej nad 27 przedstawień nagiąć się i ułaskawić się nie pozwolił?

A bo dramat Pana Sardou, żadnym, absolutnie żadnym prawdziwego piękna nie odpowiadając warunkom, nie był niczem więcej jak tylko kiepską feerją (féerie) poważnem zamaskowaną nazwiskiem; jak tylko łataniną kilkunastu pełnych zgiełku i wrzawy obrazów, bez racji, bez sensu, grubą jak lina okrętowa nicią intrygi powiązanych z sobą na prędce.

Nadto nudny i poważny (niby to) żeby się lekkiej paryskiej podobać gawiedzi, zbyt pusty i szarlatański, by bardziej wykształconą ściągnąć publiczność, upadł jak wszystko co nieszczere, co dwóm panom zarazem służy, co Bogu jedną, a djabłu dwie zapala świeczki, co nie jest ni istną sztuką, ni szczerem błazeństwem, a tylko blagą, a tylko na pieniądze okpionych widzów potrzaskiem.

Wyznam wam, szczerzem rad temu. Imć Sardou od niejakiegoś czasu, brzydką talent swój skierował drogą. Dawszy się poznać dość sprytnych komedyjek tuzinem, wywoławszy ogólne sympatje bardzo ładnym „Patrie" (mowa o nim wyżej) dramatem; Imć Sardou, powiadam, od niejakiegoś czasu smutną zaczął odgrywać rolę, osła kopiącego nogą to te to owe polityczne ideje a zasady, w miarę tego jak one w publicznej upadały opinji. Po zgonie cesarstwa policzkował je w „Roi Carotte" po upadku komuny po przesileniu się republikańskiej potęgi wyśmiewał ją w „Rabagas'ie" i w „Merveilleus'ach".

Gdyby z kolei i monarchiczne prądy jakiemu niepomyślnemu dla nich uległy zwrotowi, ani wątpić, iż znany dramaturg i te by szyderstwa swego obluzgał śliną.

„Courant toujours au secours du vainqueur“ autor „Nienawiści“ nic się nigdy przeciwko żadnej potędze (dopóki to stoi) szepnąć nie odważy. Lecz niech że ją coś choć na chwilę przygnie ku ziemi, wnet jak żaba na pochyłe skacze drzewo.

Szczerzem więc rad, powtarzam, iż mu się choć raz dobrze powinęła noga. Może własne niepowodzenie cudze nieszczęścia szanować go nauczy.

Ani sobie zadam trudu opowiadania wam treści pogrzebanego dramatu. Dość wam będzie wiedzieć, iż rzecz się dzieje we Włoszech, w Siennie, w czasie odwiecznych Gwelfów i Gibelinów zapasów. Jak widzicie, tło olbrzymie, materja bogata. Pan Sardou znalazł w niem miejsce na nakreślenie jednego tylko nędznego, miejscowego epizodu, który, nie charakteryzując ni historycznej epoki, ni wybitnych wówczas osobistości, konwencjonalnym formułkowym wszędzie się przypiąć dającym jest tylko romansem. Pan Sardou użył jej za protekst do malowniczych dekoracyj, do nieskończonych pochodów, marszów, bójek, processyj. Snują się przed okiem widzów zbroje, hełmy, szyszaki, wieją chorągwie, migają kopje i miecze, bez końca miary a granic. Jakeśmy rzekli wyżej, to feerja (féerie) tylko miast wpółnagich nimf a rusałek jak w tamtych tutaj zakuci w stal rycerze. Wygląda to moralniej zapewne, lecz cóż z tego gdy pod tym błyszczącym rynsztunkiem sztuki niema wcale, lub gdy takowa jarmarczną trąci budą? Pajac, choćbyś go ubrał w gronostaje, choćbyś mu koronę włożył na głowę, nie przestanie być pajacem. To ogólne wrażenie, jakie najnowsza pana Sardou wywiera produkcja. Z pod tych tóg szkarłatnych, z pod tych złocistych pancerzy, wyglądają, rzekłbyś, pstre a obcisłe trefnisiów kurtki. Brak szczerego zapału, powaga kłamana, rzucanie się miast życia, nadto zgiełku, nic harmonji — to tam, to owdzie przyczepione zbyt deklamatorskie, zbyt napuszone tyrady. Oto sumienna ocena rzeczy, która się zupełnie nie udała, czemu się dziwić nie można i czemum ja powtarzam, rad nieskończenie.

Basta.

Drugim doniosłym faktem paryskiego żywota, jest lub raczej było otwarcie nowej Opery, która się lat dwadzieścia budowała i której, gdyby nie pożar budynku starej, żyjące dziś by pewno nie oglądało pokolenie. Po wojnie, po komunie zwłaszcza, Paryż do koniecznych wziąć się był oszczędności. Wszystkie w ostatnich chwilach cesarstwa ku upiększeniu miasta podjęte trudy, zaniechane lub do lepszych odłożone czasów, ustąpiły miejsca potrzebniejszym i bardziej naglącym, koło restauracji spalonych przez komunę gmachów, zachodom. Ukończenie nowej opery w mniej koniecznych robót zapisane rubryce, w nader oddalonej zdało się mglić przyszłości. Pukano tam koło niej nibyto zawsze, ale tak powoli, tak po ślimaczemu, iż nikt z najsilniejszym nawet mikroskopem w ręku, żadnego postępu robót, dojrzeć nie był w stanie.

W tem w miesiącu Lipcu 1873 roku budynek starej opery przy ulicy Lepelletier pastwą staje się płomieni.

Stolica jak Paryż, bez opery obejść się nie może. Według obrachunku zrobionego przez dzienniki, brak jej kilka tysięcy osób, dekoratorów, maszynistów, kostiumierów itd. środków pozbawia do życia; brak jej w budżecie biednych miasta Paryża, którzy pewien procent od dochodów każdego pobierają teatru, miljonowym prawie figuruje deficytem. Tak ważne uwzględniwszy okoliczności, zarząd miejski potrząsł workiem. Architekt Karol Garnier raźniej wziął się do dzieła i oto w niespełna lat dwa (po spaleniu się starej) nowa opera tłumom widzów złociste swe otwiera podwoje.

Jak o tem z dzienników wiecie, Paryż z dnia otwarcia, jak gdyby wielkie miejskie wytwarza święto. Zaprosiny do murów jego sprowadzają Lorda-Mera Londynu, burmistrzów lub prezydentów ościennych stolic: Amsterdamu, Brukselli itd. Na przedstawienie gala loże się po kilka tysięcy, fotele po kilka set sprzedają franków. Przedstawienie to pomimo dziewięciu-dziesiątych sali zapełnionych darmo przez wysokich dostojników państwa i zaproszonych gości około 40.000 fr. czystego przynosi dochodu. Dzienniki trąbią, fama się rozchodzi, daleko i szeroko. Paryż posiada operę, jakiej dotychczas nigdy i nigdzie ludzkie nie oglądało oko. Publiczność wierzy. Cisną się jej tłumy, by ten ósmy cud podziwiać świata. Sala codzień pełna. O lada miejsce dobijać się potrzeba. „Le tour est fait“. Rezultat świetny. Ile sławy, tyleż dochodów, jeśli nic więcej. Czegoż potrzeba? Czy rzeczywiście nowy gmach i nowa sala tak ogólnemu odpowiadają zachwytowi, jeśli mego osobistego zażądacie zdania, to w ogólnym chórze pochwał, wręcz przeciwną fałszywą zatem, odezwie się nutą. Gmach na zewnątrz znany już oddawna, kolosalny lecz brzydki, szczególniej z frontu. Przy małym (stosunkowo) ściśniętym olbrzymiemi sześcio-piętrowemi kamienicami placyku, front ten obsypany (do zbytku) różnemi z kolorowych marmurów, złoconych bronzów itd. świecidełkami, wygląda ciężko, pospolicie, niezgrabnie. Gdyby projektowana niegdyś, zaniechana dzisiaj, szeroka aleja do „Palais Royal“ prostą wiodąca linją, a naprzeciwko nowego gmachu na plac wychodząca opery, przyszła kiedy do skutku, ani wątpić, iż to by pomyślnie na całość wpłynęło obrazu. Przestrzeń przed frontem rozszerzona nieco w ten sposób, front ten dźwignęła by do góry. Teraz on zda się zapadać w ziemię i przedziały między arkadami wstępnemi u dołu, rzekłbyś na królików wyglądają nory. Tak prawe jak lewe skrzydło gmachu od ulic: „Auber, Scribe, Meyerbeer, Halévy“ itd. lepiej się przedstawiają oku i jeśli nie nader świetne to przynajmniej znośne dają mu widowisko.

Sala. Widziałem ją po raz pierwszy wczoraj zaledwie, świeże więc, niczem niestarte, posyłam wam jej wrażenie, wrażenie to niekorzystne. Jeśli przepych, zbytek ozdób, złoceń, sztukaterji stanowi piękność, — to takowej nowej sali odmówić nie sposób. Bogata, — ni słowa. Lecz jeśli piękność leży w proporcji miar i kształtów, w kunsztownym rozkładzie świateł i cieni, w harmonji a w zgodzie tonów, to tej widzi nam się tam brak zupełny. Sala za złota, za ciężko złota i pomimo tego za ciemna, za smętna, za ponura. Ni majestatu w niej, ni wdzięku, ni kokieterji. Ani zdumiewa, ani głaszcze oko. Ni z niej jakieś starożytne „forum“ ni ładny salon współczesny. Może być zbyt jestem wymagającym. Opowiadane cuda do bycia mię upoważniły. Nic niebezpieczniejszego, jak przesada na korzyść czy na niekorzyść rzeczy. Rzeczywistość zawsze się lepszą lub gorszą od niej wydać musi. Tak było tu zemną. Nastrojony do zachwytów spotkałem się z zawodem. Gdyby mi salę nowej opery zwykłą zapowiedziano, znalazłbym był może, iż rzeczywistość lepszą jest od obietnic. Stało się przeciwnie. Przedsionek i paradne wschody wspaniałe. To ani słowa. Rzekłbyś iż się na nie talent architekta wyczerpał zupełnie, i że gdzieindziej już mu go zabrakło. Zgodne to zresztą z charakterem narodowym Francuzów, to obliczanie na pierwszy rzut oka, o ile można korzystny i który do łaskawego sądu o całości usposobić jest w stanie. Często gęsto we Francji, tak w gmachach publicznych, jak i w mieszkaniach prywatnych, z tem się spotkać można zjawiskiem, z wstępem, z pierwszym salonem, przepychowi którego wcale dalsze nie odpowiada wnętrze. Tak jest i z operą. „Foyer“ niebrzydkie zdobią go najwięcej fraszki Pana Baudry z których kilka, iż tylko figurę wyobrażającą Poezję Erotyczną wymienię, udatnych wcale. W ogóle rekapitulując wszystkie już powiedziane rzeczy, nowa „Akademja muzyczna“ (oficjalny tytuł opery) w Paryżu, wcale tak bardzo starszej swej w Wiedniu nie zaćmiewa siostrzycy, i entre nous soit dit mogłaby być piękniejszą.

Co nie przeszkadza, iż się ną Francuzi jakby nie wiem jakiem szczycą arcydziełem. Grand bien leur fasse! Dobre mniemanie o sobie i o wszystkiem co swoje, w wielu strapieniach słodką bywa pociechą.

Pociechy im tej teraz bardzo potrzeba. A zatem.

List niniejszy drobnemi dopełniając nowinkami, wspomnę o nowej komedji nieznanego zgoła autora, pana Deneyrouse, którą teatr „Gymnase“ od dni kilku z wielkiem daje powodzeniem. Tytuł sztuki „Mademoiselle Duparc“. Treść wiecznie taż sama kwestja cudzołóstwa, trochę tylko z innego przedstawiona stanowiska. Winnym tym razem jest mąż, ofiarą żona. Przemienione role, kilka scen ładnych, sprytny djalog. Czegoż więcej trzeba? Warunki sukcesu zupełne.

Wspomnę o przyjęciu Aleksandra Dumas do Akademji Francuskiej, którego oficjalny akt odbyć się ma jutro we czwartek 11. bieżącego miesiąca. Uroczystość tego rodzaju podwójną lśnić się zwykła atrakcją. Mową naprzód delegowanego od akademji, którym jest zawsze jedna z wybitniejszych literackich znakomitości, mową potem przyjmowanego kandydata; ciekawych słuchaczy, na takie umysłowe gody zwykle się zbiegają tłumy. Pozwolicie zatem, iż w przyszłym liście szerszą wam o nich poślemy wzmiankę.

Obecny pisany z pospiechem „au débotté“ jak mówią Francuzi, z długiej i uciążliwej podróży, nekrologicznem o dwóch świeżo zmarłych znakomitościach tutejszych, malarzu Millet i dziennikarzu Paul Foucher zakończymy wspomnieniem.

Pierwszy twórca nowej szkoły krajobrazu, współzawodnik Carot'a, mistrz Juljusza Breton i Daubigny, wzbogaciwszy pędzlem swym niejednego handlarza obrazami (sposób w jaki pośrednicy ci wyzyskują artystów, treści do długich dostarczyćby mógł artykułów) umarł omal że nie biednym, wdowę i liczne zostawiając potomstwo. Drugi fortunniejszy pod względem majątku, sympatyczny krytyk, sprawozdawca teatralny w „Pressie“, sam autor (chociaż mniej jako taki znany,) skończył żywot nagle w chwili, gdy rad z powodzenia jaki „Rose Michel“ dramat przyjaciela jego Ernesta Blum, otrzymał w „Ambigu Comique“ do pisania pochwalnego o nim zabierał się artykułu.

Jak na świeżo po dwumiesięcznej niebytności do Paryża przybyłego kronikarza, tego dosyć, nieprawdaż?

Do przyszłego więc dłuższego i treściwszego postaramy się listu. *J. S. Chamiec.*

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Edward Lubowski „Wallenstein.“ Studjum literacko-historyczne. Warszawa, 1874.

Pomiędzy licznymi bohaterami, jakich wywołała na scenę wojna trzydziestoletnia, największym może jest Wallenstein. Od natury już bogato uposażony, posiadając nadzwyczajną przenikliwość i odwagę nie znającą granic, gdy przytem jeszcze i szczęście mu sprzyjało, otworzył zbieg okoliczności jego genjuszowi nader rozległe pole. Wszystko, cokolwiek o Wallensteinie wiemy, jest wielkie i tem bardziej zajmujące, iż jakaś tajemnicza pomroka zdaje się okrywać najgłówniejsze chwile jego życia. Naturalnem więc było, iż Schiller, autor gruntownego studjum nad historją trzydziestoletniej wojny, czyny i charakter tego bohatera wziął za przedmiot trylogji dramatycznej: „Obóz Wallensteina,“ „Piccolominowie“ i „Śmierć Wallensteina.“ Powyższa praca p. Lubowskiego ma na celu wykazanie różnicy, jaka zachodzi między Wallensteinem, jak go Schiller w wspomnionej trylogji przedstawił a Wallensteinem, jak go historja podaje. Pracy tej dokonał p. Lubowski na podstawie najnowszych badań o Wallensteinie i dobrze się zasłużył polskiej literaturze, zwłaszcza, że przytoczona trylogja Schillera wychodzi obecnie w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej“ w przekładzie Wł. Sabowskiego.

— Historja unii kościoła ruskiego z kościołem rzymskim napisał ks. Edward Likowski. W Poznaniu, 1875.

Nowe zamachy Moskwy na unię w dyecezji chełmskiej dały przeważnie popęd szanownemu autorowi do napisania tego dzieła. Prócz kilku szkiców, historja unji, ta ważna karta dziejów naszych, nie została dotąd historycznie opracowaną. Otrzymujemy ją obecnie od ks. Likowskiego doprowadzoną do dzisiejszej chwili, a popartą dokumentami dziejów unji dotyczącemi.

— Herbarz polski podług Niesieckiego, powiększony wypisami z późniejszych autorów, z aktów grodzkich, poznańskich, z ksiąg kościelnych oraz z dokumentów familijnych. Tom I. W Gnieźnie — 1874.

Pierwszy ten tom zawiera rysunki herbów z ich opisem. Poprzedza przedmowa o tarczach, herbach i godłach szlacheckich, dalej spis godności, urzędów senatorskich i ziemskich, wreszcie wzmianka o stanie szlacheckim jakoteż o zaszczytach i orderach. Autorem i wydawcą jest K. Łodzia-Czarniecki.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Szczególnego rodzaju zjawisko literackie wypada nam dziś zanotować. Niedawno temu p. Chorośnicki, pisarz początkujący, umieścił w krakowskim „Dzienniku mód“ pierwszą powieść swoją „Walka o byt“. Wprawdzie pracy tej nie znamy, ale już sam fakt, że została umieszczoną w piśmie, redagowanem przez p. Wł. Sabowskiego, którego imię głośnem jest w literaturze polskiej, daje nam dostateczną rękojmię, że powieść p. Chorośnickiego ma pewną wartość. Tymczasem znalazł się jakiś krytyk, który w pamflecie wydrukowanym na arkuszu, nie podpisawszy przytem swego nazwiska, rzuca się nie tyle na „Walkę o byt“ ile na jej autora, odmawiając mu talentu, znajomości stosunków, nawet patrjotyzmu. Jeśli ulotną tę broszurę wydaną temi dniami we Lwowie w drukarni Związkowej p. t. „Kilka słów o młodych literatach“, nazwaliśmy pamfletem, to uczyniliśmy dla tego, że podobna krytyka inaczej nazwaną być nie może. Gdyby niepowołany krytyk napisał był rzeczywisty i przedmiotowy rozbiór powieści pana Ch. byłby nie omieszkał umieścić go w którem kolwiek piśmie politycznem lub literackiem, ale że jemu nie szło o krytykę, lecz o szkalowanie młodego autora, rzucił więc pamflet w nadziei, że cel osiągnie. Jaki to zaś cel tego wprawdzie nie wiemy, ale widocznie musi być czysto osobisty, bo to przebija z całego tonu broszury. Rozpisaliśmy się może zbyt długo o tym fakcie, ale zdaniem naszem wypadków tego rodzaju płazem puszczać nie można. Każdy początkujący autor zasługuje na pobłażanie nie tylko publiczności ale i krytyków. Prócz tego tylko praca powinna być sądzona, a nie osobistość. Kto inaczej postępuje, kto bez nazwiska puszcza tego rodzaju broszury jak: „Kilka słów o młodych literatach“ ten staje się pamflecistą, o którym można mówić tylko z najwyższem oburzeniem.

— Staraniem lwowskiego towarzystwa pedagogicznego będą się odbywały od 20. bm. do 20. kwietnia odczyty dla kobiet. Odczytów będzie razem 20. Między prelegentami znajdujemy nazwiska Dr. Feliksa Strzeleckiego, Dr. T. Ciesielskiego, Tadeusza Romanowicza i Czesława Pieniążka. Abonament na wszystkie odczyty wynosi 4 zł. a. w.

— Jak obojętną jest Galicja w bardzo jeszcze wielu względach, dowodem na to fakt, że miesięcznik lwowskiego Towarzystwa technicznego przestał wychodzić, ponieważ miał „jednego“ tylko prenumeratora, który złożył „jednego“ guldena. Towarzystwo samo było bliskie rozwiązania. Na ostatniem zgromadzeniu uchwalono jednak wybrać nowy wydział i próbować szczęścia na nowo. Wstyd byłby dla Galicji, gdyby tak potrzebne Towarzystwo musiało upaść z braku poparcia.

— Na konkursie rozpisanym przez księgarnię Polską we Lwowie na napisanie najlepszego utworu dla teatrów dziecinnych. otrzymała pierwszą nagrodę sztuka p. Antoniego Porębskiego z Krzyżanowa w Królestwie Polskiem, p. t. „Imieniny mamy“. — Księgarnia Polska ogłasza równocześnie nowy konkurs na teatra dziecinne. Termin do nadsyłania utworów upływa z dniem 1. maja r. 1876.

— Restauracja grobów i trumien królewskich na Wawelu już ukończona. Pracą tą zajmowali się profesor Łepkowski i budowniczy Dr. Żebrawski. Dzięki tej restauracji znikła dawna ciasnota i wilgoć, a groby świetnie się przedstawiają.

— Matejko mógłby posłużyć za wzór niej ednemu z artystów, któremu nie brak talentu ale za to brak pracy, wytrwałości. Niedawno wystawił on w Krakowie „Zawieszenie dzwonu Zygmunta“ a teraz w salach krakowskiej wystawy sztuk pięknych pomieścił nowy obraz, przedstawiający „Wernyhorę“. Pisma krakowskie, z których się o tem dowiadujemy, nie umieszczają jeszcze oceny tego dzieła.

— Jak krakowski „Czas“ donosi, nieznany psotnik ponadcinał ostrym nożykiem kilka płócien w salach Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie. Skutkiem tego zarząd wystawy postanowił oddzielić publiczność barjerami od obrazów.

— Na posiedzeniu lwowskiego Towarzystwa przyrodników odbytem 13. b. m. prof. Kreutz okazał i objaśnił kilka zajmujących minerałów i skamieniałości krajowych i zagranicznych, a prof. Radziszewski mówił o własnościach antyseptycznych kwasu salicynowego.

— Najnowsze dzieło, które Gounod i Barbier, jako librecista, dla Opery komicznej w Paryżu przygotowują, nosi tytuł: „Stracony Syn.“ Twierdzą, że w dziele tem kompozytor obrabia epizod z własnego życia.

— Od śmierci Michała Anioła dwanaście piedestałów otaczających wielką kopułę świetego Piotra w Rzymie — oczekuje próżno na dwanaście posągów apostołów, w wykonaniu których śmierć wielkiemu mistrzowi przeszkodziła. Obecnie papież Pius IX. pragnąc wypełnić tę lukę, polecił wybrać dwunastu rzeźbiarzy z pomiędzy tych, którzy zamieszkiwali Rzym przed wypadkami 1870 r. i nigdy nie należeli do opozycji przeciw stolicy papieskiej — i powierzyć im wykonanie figur apostołów. Koszta pokryje dochód ze Świętopietrza.

— Pod napisem „L'Art“ (sztuka) zaczęło wychodzić w Paryżu, w drukarni Claye wspaniałe pismo tygodniowe, obejmujące 24 stronic, a ilustrowane przez najznakomitszych artystów. Jest to wydanie tak znakomite, że równego mu nie było dotychczas ani w Anglji ani na kontynencie. Wszystkie illustracje niemieckie giną obok tej publikacji.

— P. Reade, romansopisarz angielski nie ma prawa żalić się na literaturę. Za jeden z romansów swoich ogłoszonych przez dziennik „Tribune“ otrzymał tysiąc funt. szter. czyli 25.000 fr. a wezwany do objęcia redakcji jednego z owych przeglądów specjalnych, zwanych Magazines, nie pierwiej się zgodził, aż mu przyrzeczono 75.000 fr. pensji rocznej!...

— Pałac na via Ghefelina niegdyś własność i miejsce zamieszkania Michała Anioła, obecnie został odnowionym i zamienionym w muzeum malarstwa. Otwarcie go dla odwiedzających nastąpi 10. marca r. b. tj. w czterechsetletnią rocznicę urodzenia nieśmiertelnego mistrza.

— A. Rubinstein napisał nową operę „Demon,“ która po raz pierwszy pojawiła się na scenie Maryjskiego teatru w Petersburgu. Libretto ułożone ze znanego poematu Lermontowa. Jak twierdzą sprawozdawcy — akcji scenicznej brakuje ruchu i życia, chóry w prologu pisane na sposób oratorjów i trzymane w unissono, partje solowe w pierwszych aktach mają po większej części charakter liryczny; kilka scen tylko prawdziwą dramatycznością się odznacza.

— 1. kwietnia 1874 było we Francji bibliotek ludowych 773, obejmujących razem 838.032 tomów, co daje na każdy departament z Algerją włącznie przeciętną cyfrę 87 bibliotek a w każdej 9416 tomów.

— Król Birmanów zamierza założyć pierwszą w kraju swoim gazetę, która wychodzić będzie w językach birmańskim i angielskim. Prasy drukarskie i czcionki już sobie sprowadził.

— Między - narodowy kongres jeograficzny w Paryżu rozpocznie się 1go sierpnia r. b.; połączona zaś z nim wystawa wcześniej bo już 15 lipca otwartą zostanie.

Wynalazki i badania.

— Szwedcy inżynirowie Wenborg i Palmkranz wynaleźli kartaczownicę zupełnie nowej konstrukcji. Poruszać się ona daje z największą łatwością, ma 10 luf i przyrząd do rozrzucania kul; na wierzchu jej jest rodzaj skrzynki w której ukrywa się 250 nabojów—z tych 10 za pomocą samodzielnego mechanizmu po każdym wystrzale oddziela się i podsuwa w opróżnione poprzednio miejsce. Tym sposobem na minutę pięciuset pociskami plunąć można w zbitą masę atakującego nieprzyjaciela. Pierwsze próby z tą bronią wypadły tak pomyślnie, że rząd szwedzki zamówił już 63 sztuk jej dla swojej floty, a nadto ma zamiar całą armję swoją lądową w takież kartaczownice zaopatrzyć.

— Smirnów, słuchacz uniwersytetu moskiewskiego, wynalazł aparat do ogrzewania mieszkań za pomocą elektryczności. Ciekawy ten wynalazek, będzie umieszczony na wystawie w petersburgskiem Towarzystwie technicznem.

— Pierwszą planetę w tym roku odkrył 13 stycznia Paweł Henry w Paryżu. Zajmie ona 141 numer pomiędzy maleńkiemi planetami.

— Wyprawa, którą rząd angielski wysyła w celu czynienia obserwacji nad zaćmieniem słońca przypadającem na dzień 6 kwietnia br., odpłynie z Anglji w pierwszych dniach lutego rb. pod przewodnictwem brytańskiego astronoma Lockyer'a. Towarzyszyć jej będą astronomowie Janssen Vogel i Tacchini, jako przedstawiciele Francji, Niemiec i Włoch.

Starożytności.

— Z Krzemieńca donoszą, że odbyła się niedawno licytacja ruchomości zamku Wiśniowieckich, Wiśniowca. Były tam pamiątki po Wiśniowieckich i Mniszchach. Na licytację zjechało wielu obywateli, antykwarjuszów z Wiednia, i jakiś nieznany amator który wiele kupił. Sprzęty wyszły bardzo wysoko. Za połamane krzesło z herbem Wiśniowieckich zapłacono 148 rubli, a za czyżyka zasuszonego, którego August II. miał karmić własną ręką, 800 rubli. W ogóle ruchomości oszacowane na 2.700 rubli, przyniosły 31.915 rubli.

Handel i gospodarstwo.

— W Chinach i w Japonji zwyczajna herbata kosztuje od jednego do dwoch franków za kilogram (dwa funty); w Europie ta cena niesłychanie się podnosi. I tak naprzykład paczka wagi 450 gramów mająca w Chinach wartość, biorąc en gros, 25 centymów, już wychodząc z Chin po opłaceniu cła wywozowego kosztuje 60 centym. Dodajmy do tego koszta transportu z Chin do Europy, cło importowe, wydatki za skład, zyski kupca en gros i kramarzy en detail a dojdziemy wreszcie w Londynie do ceny 3 fr. 75 ct. za tę samą paczkę herbaty. Zanim do nas dojdzie, cena ta dwa razy się powiększa!....

— W Warszawie ma być wkrótce założoną klinika chirurgiczna zwierząt.

— Nie same konie tylko dochodzą w Anglji do cen nadzwyczajnych, nieprawdopodobnych prawie. Nie dawno przy wielkiej wyprzedaży bydła w hrabstwie Essex, szły krowy po 6695 fr. Kilka z nich doszło do ceny 7000 fr. inne sprzedawano po 5000, 7000, najniżej po 2000 fr. Były to krowy, mające dać początek rasie wyjątkowej pod względem wydajności mleka.

— Osoby, które nie całkiem zapomniały pierwszych zasad fizyki i chemji wiedzą, że z gnijących ciał organicznych wywiązuje się ciepło. Otóż jeden z agronomów wpadł na pomysł wyzyskania tego procesu chemicznego, a mianowicie postanowił przy pomocy tej właściwości gotować „bez ognia“ kartofle przeznaczone na karm dla bydła szczególniej dla nierogacizny. W tym celu kopie się dół w ziemi, sypie się weń warstwę kartofli drobno posiekanych i nakrywa się ją warswą słomy porznięty na sieczkę; w ten sam sposób przekłada się warstwę kartofli warstwą słomy aż do całkowitego wypełnienia dołu. Mieszanina ta fermentuje i rozgrzewając się stopniowo, wywiązuje temperaturę dostateczną do ugotowania kartofli. W sześćdziesiąt godzin operacja jest skończoną. W ten sam sposób gotować można i inne jarzyny w krótszym nawet czasie. Drób i bydło jedzą z chciwością karm tak przyrządzoną. Środek ten może być źródłem znacznych oszczędności.

— Miasto Cincinnati w Ameryce zapragnęło mieć swoją wystawę i to mianowicie w stuletnią rocznicę uzyskania niepodległości. Rada tego miasta uchwaliła dla przedsiębiorców zapomogę wynoszącą 500.000 dolarów. Otwarcie wystawy tej zapowiedzianem zostało na dzień 14. lipca 1876.

— W pakdzierniku rb. odbędzie się w Kolonji wielka wystawa ogrodnicza, obiecująca być jedną z najwspanialszych i najpełniejszych w swoim rodzaju.

Nekrologja.

— W dniu 1. bm. umarł jeden z najznakomitszych kompozytorów angielskich, Wiliam Sterndale Bennett. Był on synem organisty z Sheffield, a urodził się 16. kwietnia 1816 r. Talent jego jako pianisty i kompozytora rozwinął się wcześnie. W kompozycjach jego, mianowicie w uwerturach, czuć wpływ Mendelssohna, ale bez niewolniczego naśladownictwa. Mendelssohn i Schumann wysoce go cenili. W ojczyźnie swojej Bennett doszedł do najwyższych zaszczytów, Był professorem muzyki w uniwersytecie w Cambridge, lektorem sztuk pięknych, „*master of arts*“, a królowa nadała mu szlachectwo.

ROZMAITOŚCI.

— Sławny amerykański ornitolog Audubon, przejęty był takim zapałem dla wybranego przez się zawodu, że poświęcił mu mnóstwo mocno wkorzenionych słabostek, jakie posiadał. Jedną z tych słabostek była nadzwyczajna troskliwość o powierzchowność swoją. Uczony nasz tak dbał o delikatność swej cery, że dla zabezpieczenia jej, woalkę nosił. Na polowanie wychodził w jedwabnych pończochach, fraku z cienkiego sukna i lakierowanych trzewikach. Gdy jednak zmuszony był dla studjów i obserwacyj rozpocząć połączone z niezmiernemi trudami łowy i wędrówki po całym północno-amerykańskim kontynencie, z wielką boleścią serca wyrzekł się dawnych eleganckich nawyknień i nieustraszony niczem, w stroju prostego strzelca, w pośród największych niebezpieczeństw i niewygód brnął przez bagna i rzeki, zapuszczał się w dziewicze lasy, przebywał bezwodne sawanny, obserwując obyczaje miejscowych ptaków i rysując je w całej rozmaitości ich kształtów i upierzenia. Tym sposobem po kilkoletniej najwytrwalszej pracy zdołał zebrać 1000 rysunków, i udał się z niemi do maleńkiego miasteczka Henderson, nad Ohio, w celu uporządkowania tych wszystkich zebranych notatek i rysunków i ułożenia ich w dzieło, traktujące o amerykańskim oskrzydlonym świecie. Zaledwo jednak zdołał rozpocząć tę pracę, powołano go w nagłej pieniężnej sprawie do Filadelfji. Zchwycony tak raptownie, spakował starannie wszystkie tak kosztowne rysunki swoje, złożył w wielkiem pudle i powierzył życzliwemu sobie sąsiadowi do przechowania, zaklinając go, ażeby z tem pudełkiem obchodził się jak ze skarbem. Po kilkomiesięcznej nieobecności dopiero powrócił do Hendersonu. Pierwszą jego myślą za przybyciem było przekonać się o stanie swoich rysunków. Otworzył pudełko, postawione przez niedbałego sąsiada w ciemnym kącie spiżarni,—i mało nie omdlał! Ujrzał w niem całą kolonję szczurów! Rysunki w części podarte były, w części zamienione w ciepłe gniazdo dla młodego pokolenia gryzunów. Tyloletnia mozolna praca uczonego przepadła bez ratunku. Audubon przez chwilę tylko ugiął się pod tym ciosem. W trzy dni potem pochwycił na nowo za strzelbę, tekę, zawiniątko i ruszył w puszcze i sawanny. Na trzy lata zniknął wszystkim z oczu. Po upływie tego czasu miał znów tysiąc rysunków, pełniejszych i dokładniejszych jeszcze niż przedtem. Wówczas wziął się z filozoficzną cierpliwością do ułożenia ich i wkrótce wydał owe olbrzymie, pyszne dzieło ornitologiczne, które mu najwyższe uznanie całego świata zjednało.

— Wynalazek widelców nie datuje się dopiero od XV. wieku i z Wenecji, jak powszechnie sądzą, owszem Assyryjczykom były one już znane. Dowodem tego są znalezione niedawno w ruinach Kuyendschick w okolicach dawnej Niniwy, stare dwuzębowe widelce assyryjskie, kształtem i wykonaniem niczem od dzisiaj używanych się nie różniące. Assyryjczykom także najdawniej być musiała znaną sztuka fabrykacji szkła, której wynalezienie Fenicjanom przypisują, w tych samych bowiem zwaliskach Kuyendschicku znaleziono pieczęć z masy podobnej do kryształu górnego, na której znajduje się odciśnięta czy odlana dewiza królewska, przedstawiająca człowieka, który lwa zabija. Badacze obliczają wiek tej pieczęci co najmniej na 700 lat przed erą chrześcijańską, ale gdyby nawet nie było dostatecznie dowiedzioną rzeczą, że pochodzi ona aż z czasów króla Sargona (około 705 przed Chr.) to tyle przynajmniej z tej pieczęci wnosić można, że w starożytnej Niniwie fabrykacja szkła znaną już była.

— Pani de Genlis opowiada w niezmiernie interesującem dziele swojem „Souvenirs de Felicie“ następującą zabawną anegdotę ze swoich rokoko czasów: Gdy księżna Orleańska zamieszkiwała jeszcze Palais Royal, gościł u niej często, pomiędzy wieloma osobami, które przez dom jej przechodziły, niejaki pan d'Etréhan, człek, jakich wiele po domach się spotyka, z rasy pasożytów, którzy przychodzą do stołu, odchodzą i wracają nazajutrz po to samo; aranżują zabawy, pomagają przy grze; słowem, choć obcy, tak są nieodstępni od domu, że gdy się przypadkiem nie zjawią, pan lub pani czują, że im czegoś nie dostaje. Pan d'Etréhan był to długi, chudy, czarny, pięćdziesięcioletni jegomość, ustrojony zawsze wedle ówczesnej mody w delikatnie ufryzowaną i na biało pudrowaną perukę. Nazywano go w domu księżnej „Tatkiem“ pomimo że był upartym starym kawalerem. Pewnego dnia zaraz po objedzie usiadł on sobie przy kominku i w oczekiwaniu na rozpoczęcie opery, której nigdy nie chybił, zasnął. Towarzystwo rozeszło się powoli. Ostatnia z wychodzących dam, wesoła p. de B. spostrzegła śpiącego i na widok komicznej miny, jaką miał w owej chwili, wybuchnęła głośnym śmiechem. P. d'Etrehan nie obudził się. Widząc tak twardy sen ona i becne damy domowe wpadły na figlarny pomysł. Włożyły śpiącemu na głowę, a raczej na perukę, czepiec najnowszej wówczas mody: *a la papillon* to znaczy ze skrzydełkami motylemi, rozpięty na delikatnych drucikach i przyozdobiony dla większej kokieterji różą. Następnie ubielono go i uróżowano z jak największą delikatnością i troskliwością, uważając ażeby się nie zbudził, i nalepiono mu na twarz z pół tuzina muszek, assasins naówczas zwanych. Podczas tej całej toalety nieszczęsny d'Etréhan spał jak kamień. Przygotowanie się skończyło, lokajom wydano jeszcze rozkaz, ażeby się nie ważyli ani śmiać, ani oznak podziwienia dawać gdy ujrzą p. d'Etréhan przechodzącego. Wreszcie zbudzono biedną ofiarę okrzykiem. „Prędko! prędko... opera się zaczyna, spiesz się pan!“ D'Etréhan zerwał się odurzony i bez namysłu popędził przez korytarze, ażeby na czas jeszcze przybyć. Opera znajdowała się w tym samym budynku nikt go więc przechodzącego nie widział. Dostał się bez przypadku do loży swojej, położonej tuż przy samej scenie, na oczach całej publiki, i wedle zwyczaju swego wychylił się ażeby popatrzeć czy teatr pełny. Ledwo się jednak pokazał, cały teatr buchnął jednym ogromnym śmiechem. Widok tak osobliwej figury doprowadzał szczególniej parter do szalonej wesołości. P. d'Etréhan ani podejrzewając o co chodzi, a ciekawy, co wzbudza taką wesołość, wychylił się jeszcze bardziej z loży pytając z najniewinniejszą pod słońcem miną: „Co się stało, co to takiego?“ Na te słowa doszedł śmiech do najwyższych granic. Teatr zahuczał oklaskami, nawet śpiewacy na scenie pokładali się od śmiechu. Osłupiały d'Etréhan stałby był tak, niepojmując, Bóg wie jak długo, gdyby jedna z ulubionych śpiewaczek, panna Fel, nie była weszła do jego loży i z najwdzięczniejszym ukłonem nie podała mu zwierciadła!...

— Komu kury wyrządza jąszkodę, niechaj spróbuje następującego środka, podanego przez Maksa Adelera w jednym z amerykańskich dzienników: „Przeszłego roku, pisze ów genjalny wynalazca — miałem prawdziwy dopust Boży z kurami sąsiada mego Pittmana. Ledwom co zasadził w moim ogródku, natychmiast kury sąsiada wkradały się przez płot ogrodowy, wygrzebywały nasiona lub rosadę, zjadały je i wynosiły się z niewinną miną. Byłem długo cierpliwy ale za piątym rabunkiem takim poskarżyłem się Pittmanowi. Pittman mi na to: —Kochany Adelerze, nic w tem złego, owszem wychodzi to na pożytek nasieniu i grządkom, gdy je kury przegrzebią. Rzodkiew nie splądrowana jak należy przez kury centa nawet nie warta!—Po takiej odpowiedzi postanowiłem sam sobie satysfakcję wyrządzić. Postarałem się o pół mierzycy maisu i dwa tuziny maleńkich haczyków do wędek; na każdy haczek założyłem ziarno maisu, ten wabik przytwierdziłem do drutu, a końce tych wszystkich drutów, do największej rakiety, jaką tylko znaleźć mogłem. Poczem rozsiałem owe haczyki z ziarnkami po grzędach, i oczekiwałem na moich nieproszonych gości. Nie dały długo czekać na siebie. Wnet zbiegła się pierzasta gromada i chciwie rzuciła się na ziarna maisu, łykając je wraz z haczykami. Gdym to spostrzegł, przytknąłem lont do rakiety. Prawdopodobnie od czasów Noego nigdy domowe kury tak wysoko pod lazurami niebios się nie znalazły, jak te, którym ogród mój tak smakował. Zaszumiało, dało się słyszeć nagłe i trwożliwe gdakanie, buchnął słup dymu, i oto Pittmana kury i kurczęta z kogutem na czele zawirowały pod gwiazdami, odarte z piór i ze złudzeń co do stałości szczęścia na tej ziemi Pittman nie dowiedział się nigdy, co się stało z jego kurami; ja zaś, skorom w kilka dni potem w dziennikach przeczytał, że dwadzieścia i kilka na pół oskubanych kur z haczykami w wolach spadło z ulewnym deszczem w okolicach New Jersey, doznałem cichej i głębokiej roskoszy.“

— Często spotkać można w starych zamczyskach i tym podobnych budowlach odwiecznych kamienne głowy wmurowane w ściany. W Bautzen w Łużycach wyższych, znajdują się dwie takie głowy w jednym z zamków. Legenda opowiada, że w zamku tym mnich z mniszką za złamanie ślubów zakonnych żywcem zamurowani zostali. Miasto Döbeln, nad Muldą w Saksonji, ma za godło dwie kamienne głowy, wystające nad drugiem piętrem domu. Jedna z nich o pulchnych policzkach i śmiejącej się twarzy, druga z bardzo złą miną. Legenda twierdzi, że byli to dwaj bracia na których przypadł w spuściznie dom. Młodszy z chciwości zaproponował starszemu nie dzielić się, ale losem rozstrzygnąć kto ma zostać jedynym posiadaczem. Los mu nie sprzyjał. Starszy zostawszy właścicielem domu, na drwiny te dwie głowy umieścić kazał, z których śmiejąca się naturalnie do niego należy. Tak tłumaczą legendy istnienie głów kamiennych. Ale istotne ich źródło daleko tragiczniejszą ma barwę. Stoją one w związku z krwawemi ofiarami poganizmu. Było częstym zwyczajem w owych mrocznych czasach, że przy zakładaniu zamków, wałów itd. żywcem w fundamentach zagrzebywano ludzi, w przekonaniu, iż to budowli trwałość zapewni. Gdy cywilizacja złagodziła obyczaje, poprzestawano już tylko na zamurowywaniu zwłok jakichkolwiek. Następnie trupie czaszki albo gliniane ich naśladowania odgrywały tę samą rolę. W następnej epoce, jedynie już idąc za głuchą tradycją, wmurowywać zaczęto głowy kamienne, a lud na tem tle snuł rozliczne legendy. Nareszcie w czasach naszych obyczaj ten przechowany pojawił się pod inną formą. Przy zakładaniu kamienia węgielnego zamurowują się obecnie akta, monety, medale itp. ażeby przyszłe pokolenia zrobić sobie z tego mogły pojęcie o życiu przodków swoich. W takiej to łagodnej postaci przedstawia się nam dzisiaj ów tragiczny obyczaj pierwszych budowników.

— W „Kijewlaninie“ czytamy: „Student czwartego kursu medycznego fakultetu uniwersytetu Ś-go Włodzimierza, S. K., starozakonny, powiesił się w szopie należącej do domu, gdzie zamieszkiwał. Wstąpiwszy do uniwersytetu we wrześniu 1871 roku, K. pracowitością i sposobem życia należał do liczby młodych ludzi poważnie traktujących swój zawód. W ciągu czterech lat pobytu w uniwersytecie, zwierzchność uniwersytetu uwalniała go ciągle od opłaty wpisu, a w roku szkolnym 2874,5 otrzymał z uniwersytetu 60 rubli wsparcia. W mieszkaniu zmarłego znaleziono następną kartkę: „Samolub, a do tego człowiek podejrzliwy, nie powinien żyć: życie jego jest męczarnią. Żegnam was moi rodzice i przyjaciele. Miałem dużo przyjaciół, ale sam nigdy nie byłem szczerym przyjacielem. Serdeczny przyjaciel powinien być gotów do poświęceń, a ja tego nie mogłem— dla tego sam siebie poświęcam. Żegnam wszystkich dobrych ludzi!“

— Obecnie przebywa w Paryżu młody Holender, sławny piechur, lat 34 mający, który pieszo przeszedł Japonję, wielki obszar Chin, oraz Ameryki północnej i południowej. Przed czterema miesiącami odbył drogę z Amsterdamu do Paryża, drogę wynoszącą 490 kilometrów, blisko 70 mil w 10 dniach; co dzień musiał iść 13 godzin, a posilał się podczas marszu. Następną pieszą wędrówkę zamierza odbyć do znaczniejszych miast rossyjskich z przewodnikiem pirenejskim Ortygiem.

Odpowiedzi Redakcji.

L. Z. w B. poczta Cieszanów. Z przysłanego nam manuskryptu nie możemy korzystać. Wypadki to zbyt jeszcze świeże, by nam wolno było poddawać je tak ostrej krytyce. Zresztą ganiąc i potępiając trzeba udowadniać, a tych dowodów nie widzimy w wielu miejscach. Przysłany początek manuskryptu może być każdej chwili odebrany w naszej redakcji.

Dr. A. W. we Florencji. Wiersz p. D. W... umieszczonym nie będzie; myśl piękna ale forma niewyrobiona.

G. we Lwowie. Przysłany wierszyk nie kwalifikuje się do druku.

Treść Nr. 8.

O sumienności autorskiej, przez Józefa Rogosza; *Serce i ręka,* powieść J. I. Kraszewskiego (dok.); *Wybory w Ameryce,* przez K. Wolskiego; *Dziedziczność charakteru* przez A. S. (c. d.); *O pieniądzach papierowych w Polsce;* (dok.) *Pamiętniki z r. 1831,* Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Rekruci* wiersz przez Wł. Bełzę; *Idealiści* powieść Jana Lama (c. d.); *Podróże do bieguna* przez L. Tatomira (c. d.); *Pogadanka* Jana Lama; *Piśmiennictwo polskie* przez Dr. K. Libelta; *Piśmiennictwo zagraniczne* przez J. Gordona (c. d.); *List z Krakowa III.* Wł. Sabowskiego; *Kronika Paryska,* IV Chamca; *Bibliografja.* — *Wiadomości ze świata* — *Rozmaitości.* — *Od Redakcji.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego),